228

ZOFJA ELTZ

GODZINA ANIELSKA

OPOWIADANIA
O ULUBIONYCH ŚWIĘTYCH

TŁUMACZYŁA
L. SCHECHTLÓWNA



NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN

JEDYNY AUTORYZOWANY PRZEKŁAD POLSKI
COPYRIGHT BY JOSEF KÖSEL & FRIEDRICH PUSTET, MUNICH
70 WYCINANEK JÓZEFINY ALLMAYER

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAP[illegible] Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA"



Godzina Anielska

Wiele godzin i różnych godzin ma nasz dzień: godziny szkoły i go dziny jedzenia, godziny zaba i godziny snu. Wszystkie n do Boga, On je stwarza i On je nam daje wszystkich jest zawsze obecny, ten naj ciec, a także nasz Anioł-Stróż, które dał tutaj za opiekuna i przyjaciela

Ale jedna spomiędzy tych g wyłącznie należeć do Boga. Go kojna. Rzadko trwa pełnych s — raczej piętnaście, dziesięć to jest ona godziną niebiań opiekuńczy ramieniem nas z nami cichutko... gdy ju i wszystko milknie... gdy cia trzy w stronę łóżka, gdz wszystkie niespokojne myś piękna jest to godzina! Zw nią tajemny blask jutra. przynieść ma nam rzecz droższą Komunję świętą.

Ojca świętego k a ż d y dzień może przynieść tę radość niebiańską. Więc też na myśl o tem cieszymy się w przeddzień, w cichej godzinie z Aniołem-Stróżem.

Na takie to godziny, godziny anielskie, napisana została ta książeczka. Wierny Anioł-przyciel niech ją z nami cichutko przeczyta. I niech [illegible] dalej mówi o tych dzieciach bożych, o któ[illegible]a książka cośniecoś opowiada. Zna wszyst[illegible]zecież dobrze ze swojej błogosławionej [illegible] Ojczyzny.

Dwaj przyjaciele Maurus i Placyd

Jakież to ucieszne, gdy wiatr tak głośno krzyczy! Jezioro wtedy aż bełkoce z gniewu. Najeży fale, jak Katus, czarny pies klasztorny, zwykł jeżyć sierść. A poważne drzewa gwałtownie potrząsają sędziwemi głowami. Ale wiatr o nic nie pyta i gwiżdże, ile mu się podoba. Co to za niepoczciwy pustak!

Tak myślał mały Placyd i głośno się roześmiał. Jak to dobrze, jak wspaniale, że jego właśnie w tę wichurę posłano nad jezioro! Święty ojciec przeor wiedział pewnie, że on taką pogodę lubi nadewszystko. Pewnie dlatego rozkazał mu dzisiaj właśnie nanieść świeżej wody.

Placyd aż westchnął z zadowolenia i miłości. Potem usiadł na stromej, śliskiej ścieżce i jak błyskawica zjechał aż nad brzeg jeziora. Mocne sukno habitu wytrzymywało doskonale taką jazdę. Nie nadarmo było grube i zbite.

Placyd wydawał się sobie dorosłym. Czyż nie żył wśród samych dorosłych, poważnych mnichów niemal na równych prawach? Czy nie nosił takiej samej szaty jak oni? Rok już prawie mija, jak ojciec jego, patrycjusz Tertullus, przywiózł siedmioletniego wówczas chłopca do Subia-

co. Tu oddał syna pod opiekę świętego i sławnego już daleko i szeroko opata Benedykta, który miał go wychować do życia dla Boga.

Nie można zaprzeczyć, że mały Placyd bał się wtedy okropnie! Ci wszyscy obcy czarni mężowie wydali mu się jakimiś okrutnymi olbrzymami. O mało nie zapłakał głośno ze strachu i rozpaczy — mimo swych pokaźnych siedmiu lat — gdy go ojciec pobłogosławił ostatni raz i odszedł. Powędrował z powrotem do Rzymu, do matki i do rodzeństwa, a on, Placyd, miał zostać całkiem sam... — o, jakie to straszne! To dziecko, wydawało się sobie takie małe, bezradne i opuszczone, tu wydane w ręce groźnym duchom górskim. Wtem usłyszał za sobą młody, wesoły głos:

— Placydzie, powiedz, czy umiesz tak rzucać płaskie kamienie, żeby skakały po jeziorze?

Placyd odwrócił się z radosnem zdumieniem. Za nim stał chłopiec niewiele co starszy od niego, lecz w czarnej szacie zakonnej. Uśmiechał się przyjaźnie i wyciągnął doń silną opaloną rękę. Placyd pochwycił ją wszystkiemi dziesięcioma palcami, jak ostatnią deskę ratunku. Starszy chłopak zaśmiał się.

— Nazywam się Maurus — powiedział. — Wiesz, zdaje mi się, że będziemy dobrymi przyjaciółmi.

To było okropnie dawno. Placyd, doświadczony już obecnie młody ośmioletni zakonnik, serdecznie się śmiał z tej dziecinnej trwogi. Bo

wszystko okazało się inne zupełnie, niż sobie wyobrażał. Ponure olbrzymy przeistoczyły się w jego najlepszych przyjaciół, samotne opuszczenie zmieniło się w serdeczne życie rodzinne. Tu było przecież o wiele piękniej, niż w wesołym, kochanym Rzymie. A już sam wielki opat, którego się w owej godzinie tak obawiał! Ach, opat Benedykt, jego ojciec! Gorąco a błogo robiło się Placydowi koło serca, gdy myślał o tym człowieku.



Jedynym, co do którego się w pierwszej chwili nie mylił, był Maurus. Wszystko się spełniło, czego się mały Placyd spodziewał, gdy rozpaczliwie uczepił się ręki młodzieniaszka. Maurus był najlepszym, najkochańszym towarzyszem, jakiego chłopiec zapragnąć może. A święty opat radował się tą przyjaźnią. Kazał obu chłopcom razem pracować, gdzie się tylko dało. Tylko temu przyjacielowi zwierzył się Placyd ze swej gorącej miłości do opata.

— On jest więcej niż ojcem. Nazywam go moim ojcem ojców — powiedział raz.

Maurus zaśmiał się.

— Ojciec ojcowy, to przecież dziadek. Niema w tej nazwie nic szczególnego.

— Dobrze, więc będę go nazywał moim zastępcą Boga na tym świecie — zatriumfowało dziecko.

Ale starszy nie zadowolił się i tem.

— Nazywamy go wszyscy: Abbas — ojcze. Co może być większego nad to miano, ty zuchwały nowatorze?

Placyd potrząsnął tylko przekornie głową, którą porosły bujne kędziory, przykrywając surową tonzurę. Obaj przyjaciele często mówili o tych rzeczach.

Tak, teraz jednak należało przebyć najtrudniejszą część drogi, Placyd musiał bardzo uważać. Trzeba było zejść po dość stromej skale, której podnóże wysuwało się kilka metrów w głąb jeziora. Wielki dzban bardzo utrudniał schodzenie, a wiatr szarpał tak gwałtownie, że Placyd musiał się mocno trzymać załomów skalnych, aby go wichura nie zmiotła.

Doszedł wreszcie na właściwe miejsce. Przykląkł, pochylił się nad jeziorem i zanurzył weń dzban. Woda napełniała powoli naczynie. W zamyśleniu słyszało dziecko jej bełkot i chlupot. Ta woda napływająca przypominała mu jedną noc letnią — najpiękniejszą i najbardziej uroczystą, jaką kiedykolwiek przeżył.

Otóż wolno mu było wtedy towarzyszyć świętemu Benedyktowi na samotny szczyt górski. Z klasztorków, któremi rządził święty opat, trzy wznosiły się na tej górze. Ale brakło wody na skalistych uboczach. Z największym trudem wnosili mnisi z doliny na szczyt tylko tyle wody, co koniecznie było potrzeba. Poskarżyli się Świętemu ze swą biedą. Ten poszedł o północy na jałowe zbocze. Przed dużym złomem skal-



nym padł na kolana i modlił się, wzniósłszy ramiona. Onieśmielone dziecko patrzyło na to w zdumieniu.

Naraz, może po upływie godziny, stało się coś niepojętego. Noc ściemniła się zupełnie; nie było gwiazd, ani księżyca. Placyd spał zapewne. Wtem zbudził się i patrzy: oto postać ukochanego mistrza tonie cała w olśniewającym blasku. Światło otoczyło głowę złotą koroną, światło osłania go jak lśniąca szata, światło spływa z jego rozpostartych ramion. Położył na kamieniu

ręce, jaśniejące niby słońce, i część jasności pozostała na kamieniu. Placyd widział to wyraźnie, patrzał szeroko rozwartemi, płonącemi oczyma. Powoli, stopniowo odpłynął blask niebiański, znikła świetlista szata i złota korona. Ale na kamieniu drżał jasny wieniec, niby żywe, oddychające stworzenie. Święty Benedykt westchnął głęboko, ukrył twarz w dłoniach. Potem wstał, podjął trzy kamienie i położył na miejscu, gdzie jaśniało światło. A ono świeciło dalej na tych trzech kamieniach. Opat zwrócił się do dziecka:

— Zbudź się, mały śpiochu, chodź. Pójdziemy do domu — powiedział serdecznie.

Placyd zerwał się. Chciał mówić, wołać, że nie spał, że widział cud. Ale poważne spojrzenie opata zamknęło mu usta. Czuł, że musi zamilczeć o tem, co widział. Uszczęśliwiony westchnął głęboko: teraz opat i on mieli wspólną tajemnicę. Uśmiechnął się błogo do czcigodnego męża i złożył swą drobną prawicę w wyciągniętą dłoń ojcowską. W milczeniu i radości wrócili obaj do domu.

Gdy nazajutrz mnisi poczęli kopać przy trzech kamieniach, z jałowej skały wytrysnęło obfite źródło. Ale świetlistego wieńca mnisi nie znaleźli. Wiedzieli o nim tylko święty Benedykt i on, Placyd. Słuchając milczącego rozkazu, nawet Maurusowi nie powiedział nic o owej nocy.

O tem wszystkiem rozmyślał mały Placyd, gdy woda powoli napełniała dzban. Myślał i myślał, i nie uważał na szybko napływającą wodę.

Aż nagle dzban był pełen! Przecież miał go napełnić tylko do połowy! Przestraszony starał się szybko dźwignąć go z wody. Ale dzban był za ciężki. Dziecko skuliło się aż z wielkiego wysiłku, ciągnęło, szarpało — wtemześlizgnęła się noga, wparta w skałę. I zanim Placyd spostrzegł, co się z nim dzieje, wpadł głową nadół w czarną głębinę. Porwał go silny prąd i z szaloną szybkością poniósł na jezioro.

* * *

Maurus, który liczył już piętnaście lat, pracował w ogrodzie. Polecono mu skopać grządkę. Całym nakładem swych młodych sił przekopywał wilgotną, brunatną ziemię, śpiewając przy tem. Łopata natrafiała co chwila na wielkie ostre kamienie, które należało usuwać. Maurus przypomniał sobie porównanie opata o ciężkich kamieniach naszych wad, które tyle zmartwienia przyczyniają boskiemu Ogrodnikowi. On, Maurus, niemal od dzieciństwa stara się usilnie zwalczać te przeszkody w swem sercu, a przecież... Westchnął. Wtem usłyszał głos opata:

— Maurusie!

Święty Benedykt wyszedł ze swojej celi do ogródka.

— Maurusie, Placyd wpadł do jeziora. Biegnij i wyciągnij go czemprędzej!

Młodzian ze strachu upuścił łopatę. Pochylił głowę przed ukochanym mistrzem i pomknął

wielkiemi krokami po pochyłości, a opat słał za nim błogosławieństwo.

Szumiało mu w uszach.

— Placyd! drogi mały Placyd! — sapał przerażony.

Maurus podszedł do jeziora z innej strony niż dziecko. W biegu przyszło mu niespodzianie na myśl: Skąd opat wiedział już o tem nieszczęściu? Maurus widział go z ogródka przez cały czas: siedział w swej celi nad jakiemś pismem. Stamtąd nie było widoku na jezioro.

— Wie o tem od Boga — zatriumfował młodzieniaszek. — Pan Bóg nie pozwoli utonąć memu małemu przyjacielowi!

Doszedł do jeziora. W tem miejscu brzeg schodził płasko w fale, a do skały, z której spadło dziecko, było dość daleko. Chłopak, osłupiały ze strachu, rozglądał się dokoła. Tam, daleko, spośród wzburzonych fal wynurzyła się jasna główka. Wstrząsnęło nim przerażenie. Nie umiał pływać!

Ale otrzymał rozkaz: „Biegnij i wyciągnij go czemprędzej!"

— W świętem posłuszeństwie wszystko potrafię! — powiedział sobie twardo młody zakonnik i pobiegł po wodzie. Nie patrzył ani w prawo, ani w lewo, nie myślał, nie wątpił — po trzech minutach dopadł dziecka. Silnym chwytem złapał tonącego i ujął go w ramiona. Potem odwrócił się i pobiegł z powrotem, bez namysłu,

bez wahania, w przebłogiem posłuszeństwie, tak jak przyszedł.

Dopiero gdy stanął na twardym brzegu, gdy się odważył rozglądnąć dokoła, przyszła nań pełna świadomość cudu. Wiedział teraz, jak daleko biegł po wzburzonych falach. I łzy płynęły mu po twarzy chłopięcej, gdy cucił swego małego przyjaciela z omdlenia.



Wrócili zaraz do klasztoru. Święty Benedykt wyszedł chłopcom naprzeciw. Wziął drżącego z zimna Placyda na ręce i zaniósł do domu.

— Widzisz, mój Maurusie, jak cudownie pobłogosławił Pan twemu posłuszeństwu! Pan Bóg tak ukochał tę cnotę, że dla niej ogarnął cię łaską swego cudu! — tak powiedział wielki nauczyciel.

Placyd, otulony w ciepłe derki, siedział w swem łóżku. Złożył go na niem święty Bene-

dykt. W zsinialych z zimna rękach chłopiec trzymał kubek gorącego mleka, które miał wypić.

— Nie, święty ojcze — przerwał poważną naukę opata — widziałem twój płaszcz nad sobą, jak byłem w wodzie. Ty mnie wyratowałeś!

Oczyma, skrzącemi od wielkiej miłości, patrzył smyk na opata. Uśmiechnął się bardzo tkliwie poważny święty i pogładził mokre kędziory swego ulubieńca.

— Troska ojca i posłuszeństwo dzieci łączą się z sobą, aby nas zaprowadzić do nieba — powiedział i odszedł.

Maurus skoczył na łóżku i uszczęśliwiony uściskał swego drogiego przyjaciela.

— Widzisz — wykrzyknął mały Placyd — jest tak, jak ja mówię. On jest dla nas zastępcą Boga na świecie.

I śmiał się ubielonemi mlekiem ustami.

— Może i tak — cicho odparł Maurus.

Maurus i Placyd pozostali wierni sobie i świętemu Benedyktowi. Zostali później świętymi, założycielami klasztoru, a wkońcu męczennikami.



Święta Matka Barat

Był dzień wolny. Najzupełniej wolny. Ten tylko umie ocenić takie wydarzenie, kto żył w pensjonacie, kto lata całe żył w pensjonacie. Ten tylko wie, jaką rozkosz, błogość, jak nieporównane uczucie słowo to wywołuje w sercu: wolny zupełnie dzień. *Grand congé*[1]) nazywano go w klasztorze. Chociaż ta szkoła *Sacré Coeur*[2]) nie była we Francji, lecz we Włoszech, w Rzymie, świętem mieście. Zresztą, wszystko jedno, jak się ten dzień nazywał! — skoro się było wolnym, zupełnie wolnym, przez całych długich, słonecznych dwanaście godzin — wolnym.

Dzieci wykorzystały go rzetelnie. Prawie każdą godzinę tego pięknego dnia przehasały, prześmiały. Teraz miało się ku wieczorowi; były zmęczone. Nikt nie miał ochoty do gier. Wszystkie te duże i małe dziewczynki siedziały grupkami na trawie. Rozmawiały i chrupały różne smaczne rzeczy, które dzisiaj wolno było rodzicom przynieść. Kiedy niekiedy widać było tu i tam którą z zakonnic, którąś z „matek", prze-

---

[1]) Czytaj: grą kąże. [2]) Szkoła *Sacré Coeur* (czytaj: sakre ker) — Najświętszego Serca, lub szkoła sióstr sercanek.

chadzającą się zwolna po ścieżkach ogrodu. Małe dziewczynki wołały wtedy ze śmiechem; matka uśmiechała się, skinąwszy ręką na pozdrowienie.

Dzieci miały wiele do omówienia. Bo też dzisiejszy dzień był taki cudowny! Oczywiście nie bez powodu wypadł taki niespodziany *congé*. Powód był bardzo ważny: czcigodna *Mère Barat*, „*Madame Mère*"[1]), jak ją tutaj nazywano, spotkał dzisiaj najwyższy, jaki być może, zaszczyt.

Magdalena Zofja Barat, ta przedziwna kobieta, która założyła zakon *Sacré Coeur*, której podlegały wszystkie owe klasztory we Francji, Włoszech, Niemczech i w Anglji, a nawet w Ameryce — od kilku tygodni przebywała w tym właśnie klasztorze rzymskim. Wszystkie dzieci kochały ją i czciły z serdecznym zapałem.

Otóż wczoraj, już pod wieczór przyjechał z góry okazały powóz papieski, zaprzężony w cztery kare konie, i zatrzymał się przed furtą klasztoru. Z powozu wysiadł kardynał Lambruschini[2]), którego wszystkie dzieci znały. On właśnie był opiekunem klasztorów *Sacré Coeur*. Nieraz tu przybywał, we wspaniałych purpurowych szatach, a zwłaszcza teraz, odkąd tu mieszkała *Mère Barat*. W uroczyste święta odprawiał też niekiedy sumę lub błogosławieństwo. Jakże się dzieci wtedy cisnęły, aby go zbliska lepiej zobaczyć! Niejedna

[1]) Czytaj: mer Bara, madam 'mer. *Mere* — po francusku: matka; *madame* — pani. Czytaj: Lambruskini.

zuchwała rączyna czyhała, by dotknąć purpurowego jedwabnego trenu, gdy żadna z matek nie mogła tego widzieć!

Wczoraj przywiózł kardynał osobliwą, niesłychaną wiadomość. Zapowiedział, że nazajutrz czekają szkołę *Sacré Coeur* o wiele, wiele zaszczytniejsze niźli jego odwiedziny. Jego Świątobliwość papież Grzegorz XVI[1]) chce we własnej osobie odwiedzić matkę-założycielkę! Potem zwiedzi klasztor, pensjonat i wszystkich, wszystkich pobłogosławi.

Jakiż gorączkowy ruch powstał w całym domu, gdy się rozeszła ta wiadomość! Trudno było potem położyć się cicho i spokojnie o pół do dziewiątej do łóżka i usnąć! Tyle jeszcze było do powiedzenia!

Peppina i Luiza[2]), dwie roztrzepane ośmiolatki, rzeczywiście nie mogły się na to zdobyć. Peppina pobiegła boso do swej małej sąsiadki i wsunęła się do jej łóżka. Z bijącemi serduszkami omawiały dzień jutrzejszy. Aż nadeszła matka Damina i przyłapała je.

Ach, jaka była oburzona! Obie małe winowajczynie okropnie się przeraziły! Jaka teraz będzie kara? Ale, patrzcie! Gdy już srogie upomnienia spadły gradem na pochylone trwożliwie głowy, matka Damina naraz złagodniała:

[1]) [illegible] to w roku 1845. [2]) *Peppina* — włoskie zdrobnienie [illegible]y; Luiza — Ludwika.

— Wiecie same, na coście zasłużyły, nieprawdaż? Ale tym razem wam jeszcze daruję, ponieważ jutro jest taki uroczysty dzień dla naszej przewielebnej Matki. Więc raz-dwa, do łóżka!

Szust! Peppina pognała, ucałowawszy jeszcze przedtem matkę Daminę. Chociaż właściwie i tego nie wolno było! Ale ostatecznie...

Gdy nadszedł wreszcie ranek, wszystkie biało ubrane, w długich welonach klęczały u furty, aby przyjąć Namiestnika Chrystusowego, a ten każdą zosobna błogosławił! Potem nastąpiło zwiedzanie pensjonatu. I błogosławieństwo w kościele z cudnem przemówieniem papieża. I rozdawanie poświęcanych medalików. No i potem, naturalnie, cały dzień wolny i odwiedziny wszystkich matek i ojców, którzy się dowiedzieli o tem doniosłem wydarzeniu. I te wszystkie słodkości! No i wogóle wszystko, wszystko! Było wspaniale!

— To wszystko stąd, że nasza *Madame Mère* jest wielką świętą — zawołała Peppina i obejrzała się szybko.

Ale że właśnie żadnej matki nie było wpobliżu, więc potrząsnęła smukłem drzewkiem pomarańczowem. Spadł złoty owoc.

— Ależ Peppino! — oburzyła się Julietta[1]), jedna ze starszych dziewczynek.

---

[1]) *Julietta* (czytaj: Dżiuljetta) — włoskie [illegible]nienie Julji.

To „ależ" odnosiło się do przestępstwa „pomarańczowego", a nie do entuzjastycznego wykrzyknika. Toteż nie brano go pod uwagę.

— Przecież nikt mi nie zaprzeczy? — zawołała Peppina z triumfem i nadgryzła słodki, soczysty owoc.

* * *

Wykrzyknik Peppiny poruszył głęboko całą gromadkę. Przysunęły się do siebie, aby o tem rozmawiać; policzki płonęły coraz silniej w świetle zachodu. Julietta podjęła pytanie.

— Tak, jestem przekonana, że ona jest świętą — rzekła zamyślona. — Kto inny, jak nie święta, zdołałby założyć zgromadzenie, które w niespełna pięćdziesiąt lat liczy już prawie sto klasztorów na całej ziemi, z tysiącami, tysiącami zakonnic.

— A kto inny mógłby modlić się cztery, pięć godzin bez przerwy, dopóki mu twarz nie zacznie jaśnieć jak słońce? Zdradziła mi to siostra Małgorzata — zauważyła Luiza, poruszona do głębi.

— Nawet wszystkie zwierzęta kochają naszą *Madame Mère* — wmieszała się czarniutka Mona. — Siostra służebna opowiadała mi o tem, ta, która karmi krowy, wiecie, ta kochana starowinka. Otóż, niedawno osioł, ten niepoczciwiec, nadeptał nasze sarniątko. Biedactwo miało całkiem rozbitą głowę. Beczało i stękało, i niczem [illegible] go było uspokoić. Nawet kropli mle-

ka nie chciało wypić. Całemi dniami. Zrozpaczona siostra powiedziała wkońcu o tem *Madame Mère*, no i co powiecie? *Madame Mère* poszła sama do stajni i uklękła przy chorem zwierzęciu. Zaraz ucichło i jakby poweselało, a gdy mu *Madame Mère* podała mleko, wypiło grzecznie i posłusznie. *Madame Mère* chodzi teraz trzy razy dziennie do stajni i karmi je, bo jest jeszcze takie słabiutkie.

— A ja wiem jeszcze coś piękniejszego — zawołała inna dziewczynka.

— Opowiedz, opowiedz! — prosiły wszystkie.

— No, dobrze. Nadole przy furcie mieszka, jak wiecie, stara ogrodniczka. Jej kotka miała w przeszłym roku siedmioro ślicznych białoczarnych kociąt. No, i co wy na to? — ta wstrętna kobieta chciała je potopić. Pomyślcie, taka okrutna! Kocia matka domyśliła się tego; pewnego rana *Madame Mère* siedzi w swojej celi i pisze, wtem coś skrobie do drzwi. *Madame Mère* otwiera... a tu stara kotka stoi przed drzwiami z kociątkiem w pyszczku, kładzie je zdumionej *Madame Mère* na kolanach i umyka. *Madame Mère* coś sobie myśli i zostawia drzwi uchylone. I rzeczywiście, za chwilę wraca kocia mateczka i przynosi drugie kocię. I tak wszystkie, jedno po drugiem. Już ona wiedziała, kto jest dobry i kochany! Naturalnie, że kociąt nie potopiono, żyją wszystkie. Matka Damja sama mi o tem opowiadała. Komuż to się przydarzy, jak nie świętemu? Tylko świętemu Franciszkowi z Asyżu i taki[illegible]

— A teraz kolejka cukierkowa! — upomniała Zuzanna, okrągła jak kula neapolitanka.

Dziewczynki powyciągały pudełka ze słodyczami. Każda wybrała wpierw najlepszy cukierek z pudełka, a resztę puszczała wkoło. Niejedna wzdychała przytem potajemnie, ale taki był zwyczaj szkolny. Kandyzowane owoce, czekoladki, karmelki, palone migdały odbywały kolejkę. Przez chwilę słychać było łakome mlaskania i stłumione radosne okrzyki. Wreszcie zwinna



Peppina, połknąwszy swoją ostatnią ocukrzaną śliwkę, znów powróciła do ważnej sprawy, która dzisiaj zaprzątała wszystkie głowy.

— Zresztą kogóż innego odwiedzałby sam papież, jak nie świętą? — zapytała poważnie.

— Mówią, że *Madame Mère* nawet już cuda czyni i chorych uzdrawia — zapewniała Luiza.

— Naprawdę? Naprawdę? — wołały młode głosy jeden przez drugi.

— Tak, naprawdę — przytwierdziła Maddalena[1]), spokojna dzieweczka, która siedziała w milczeniu.

[1]) Magdalena po włosku.

Przybyła dopiero niedawno na pensję, koleżanki jeszcze jej dobrze nie znały.

— Skąd wiesz o tem? — badała ją Julietta.

— To było w przeszłym roku — zaczęła Maddalena głosem cichym, prawie nieśmiałym, a dziewczynki skupiły się ciasno dokoła niej.

— Znów kolejka cukierkowa! — dopominała się Zuzanna, która teraz dopiero przestała chrupać słodycze; ale nie znalazła posłuchu.

— Cicho, łakomcze — zgromiła ją Julietta.

Inne dziewczynki rzuciły jej spojrzenia pełne wyrzutu. Zuzanna westchnęła, spojrzała na swoje puste pudełko i potem ułożyła się na trawie do drzemki.

Maddalena zaś opowiadała dalej:

— Byłam wtedy na pensji *Sacré Coeur* w Turynie. Na jednej wycieczce spadłam ze skały. Była to moja wina, bo matka Liminga zabroniła mi wspinać się na zwietrzałe, kruche skały. Ale takie piękne kwiaty rosły tam wgórze. Naraz spadłam głową nadół. Uczułam straszny ból, potem nic już nie wiedziałam. Byłam bardzo, bardzo chora. Doktór powiedział, że to groźne zapalenie mózgu. Nie możecie sobie wyobrazić, jak strasznie cierpiałam. Jakby mnie rozżarzony młot wciąż, wciąż walił w głowę. Moja mamusia płakała, a ja wiedziałam, że muszę umrzeć, i bałam się bardzo. Przyjechała matka Barat, *Madame Mère*, jak wy ją nazywacie. Była w przejeździe do Rzymu. Zdaje mi się, ż[illegible]

trzymała się u nas tylko na jeden dzień. Ale zaraz przyszła do mnie, do infirmerji.

— O, ona zawsze tak robi, nawet jeżeli ktoś jest lekko chory — wtrąciła Peppina.

— Nie znałam jej — ciągnęła Maddalena — a i tak ledwo mogłam oczy otworzyć z bólu. Czułam, że ktoś do mnie podszedł i nakreślił mi krzyżyk na czole. „Wiedz o tem, że była tu *signora Maddalena*“[1]) — usłyszałam łagodny głos. Ja sądzę, że chciała pozostać nieznaną, bo my wszyscy znaliśmy ją tylko jako *mère Barat*. Ten głos był taki kochany, że otworzyłam szeroko oczy, a gdy *Madame Mère* zamknęła drzwi, wyskoczyłam z łóżka, jakby chcąc ją zatrzymać. Gdy już przebiegłam pół pokoju, poznałam, że to był cud: odzyskałam siły i nie czułam już bólów. Przelękłam się bardzo i nie wiedziałam, co mam począć z radości. I musiałam płakać. A potem się modliłam jak jeszcze nigdy, położyłam się do łóżka i usnęłam. A gdy się zbudziłam, byłam taka zdrowa jak teraz.

— Jakie to cudowne, jakie niepojęte! — zaszemrały młodociane głosy.

Nieledwie ze strachem patrzyły wszystkie na uzdrowioną dziewczynkę, jakby ona sama była jakąś istotą nadprzyrodzoną.

— *Signora Maddalena*, święta *signora Maddalena*, święta *Madame Mère* — szeptały czcią przejęte.

---

[1]) Pani Magdalena; czytaj: sinjora.

— Muszę wam zaraz coś powiedzieć — dodała rozważna Julietta. — Jak będziecie przed naszą Wielebną Matką mówić o jej świętości, to ją tem zmartwicie i zasmucicie. Bo ona jest nieopisanie pokorna! Właśnie przedwczoraj powiedział mi ksiądz przy spowiedzi: „Wasza Matka Wielebna jest najdoskonalszym wzorem pokory". Naturalnie, była przytem i wskazówka dla mnie — dorzuciła i uśmiechnęła się lekko.

Dziewczynki uśmiechnęły się również; wszystkie wiedziały, że pokora nie jest największą zaletą Julietty.

— Cobym chciała wiedzieć — rzekła Maddalena — to, jak *signora Maddalena* stała się taką świętą. Przecież była bardzo młoda, gdy założyła ten swój ogromny zakon!

— Pewnie się już taka urodziła. Świętą nie można się stać, świętą się j e s t poprostu — pouczała mała Peppina z najgłębszem przekonaniem.

— Ależ tak — przywtórzyła Luiza — bo inaczej i ty, i ja, wszystkie mogłybyśmy być świętemi. Czy wyobrażasz sobie mnie jako bohaterski wzór wszystkich cnót chrześcijańskich, jako świętą Luizę?

Wszystkie dzieci się roześmiały. Przyznały jednogłośnie.

— Świętą trzeba się urodzić!

Tylko Maddalena pozostała zamyślona.

— Tak uważacie? — zapytała cicho, z powątpiewaniem.

Ale nikt jej nie odpowiedział. W tej właśnie chwili zabrzmiał dziki okrzyk radości. Tak przeraźliwy i dalekonośny, długotrwały i przenikliwy, jaki jedynie wydać mogą złączone głosy wielu małych dziewcząt. Wszystkie dzieci porwały się na nogi. Nadbiegały z wszystkich stron ogrodu. Fruwały spódniczki, polatywały wgórę warkocze — zaszumiało jak w ulu przed wyrojem.

* * *

W ogrodzie ukazała się matka Barat, *Madame Mère*. Była już niemłoda; utykała też trochę spowodu długotrwałej choroby nogi. Ale jej piękna, miła twarz, a szczególnie cudne jej oczy jaśniały taką radością i miłością, że nikt nie mógł się jej oprzeć. A już najmniej dzieci, jej ulubieńcy!

Otoczono *Madame Mère* w jednej chwili. Zewszechstron tłoczyły się do niej dziewczynki, jakby ją chciały udusić. Ledwie mogła się od nich obronić. Udała się z wszystkiemi dziećmi na swoje ulubione miejsce. Była to mała ławeczka kamienna pod figurą Serca Pana Jezusa. Miejsce to ocieniała wielka, rozłożysta pinja[1]). Dokoła zieleniała duża łąka, opadająca lekko wdół; wszystkie dzieci mogły się na niej pomieścić. U ich stóp roztaczał się przed ich oczyma wspaniały widok Rzymu. Widać było kopułę św. Pio-

[1]) Drzewo iglaste, rosnące na południu, podobne do naszej sosny.

tra[1]), niezrównanie piękną, majestatyczną, dźwigającą krzyż. Za nią właśnie zachodziło słońce, zanurzało się w łoże z tysiącznych płomiennych i jaśniejących barw.

Święta kobieta patrzyła nieruchomo na wspaniały obraz, — dzieci patrzyły również i milczały jak ona. Ręka jej gładziła czarne zwichrzone kędziory Peppiny. Bo ta zdołała sobie zapewnić najlepsze miejsce, właśnie u stóp matki.

Potem matka Barat zaczęła mówić: o dzisiejszych odwiedzinach Ojca świętego, o kopule św. Piotra tam w dole, i jakie to jest przedziwne: papież, namiestnik Chrystusowy. Twarz jej płonęła z wielkiej miłości do świętego Kościoła.

Gdy umilkła, Peppina, zawsze śmiała, nie mogła dłużej opanować swej ciekawości. Przytuliła się do ukochanej „matki" i zapytała:

— Ach, *Madame Mère*, proszę nam jedno powiedzieć: prawda, że niektórzy ludzie rodzą się już świętymi, gotowymi do służby Bożej. Mówię oczywiście o świętych — dorzuciła szybko, żeby kto nie pomyślał, że mówi o sobie.

Zdumiona popatrzyła matka Barat na dziecko. Potem na wszystkie lśniące oczy dokoła, utkwione w nią z wyrazem gorącego uwielbienia. Zwłaszcza na oczy Maddaleny.

---

[1]) Bazylika św. Piotra to największy w Rzymie kościół w Watykanie, siedzibie papieża. Uwieńczony jest wspaniałą kopułą.

Ach, — pomyślała przerażona — one mnie mają na myśli. Sądzą, że jestem... O Boże mój! co za przypuszczenie!

I rzekła głośno:

— Słuchajcie, dzieci, coś wam opowiem.

— Tak, o tak, prosimy — zaszemrało, zahuczało w gromadce dziewczynek; wszystkie przysunęły się bliżej, aby jednego słówka nie uronić.



A matka Barat opowiadała:

— Była raz jedna mała dziewczynka — tak zaczęła — córka ludzi prostych. Ojciec posiadał winnicę, a matka i dzieci pracowały w niej często i z ochotą. Sprawiało im to wielką przyjemność. Ludwik, brat, musiał coprawda pójść niebawem z domu. Bo był bardzo mądry i bardzo pobożny, i czuł, że Pan Bóg chce, aby on został kapłanem. Cieszył się z tego, a ojciec jego i matka cieszyli

się wraz z nim. Posyłali go do szkoły; uczył się i został rzeczywiście księdzem. Nawet bardzo dobrym i świętym.

Najmłodsza jego siostra, ta mała dziewczynka, o której wam chcę opowiadać, właśnie wtedy dopiero co przyszła na świat. W noc jej urodzin straszny ogień szalał w sąsiednim domu, a brat powiedział: „Zofja przyszła na świat w ogniu, i to pewnie w ogniu miłości!"

Dobrze było małej Zosi. Ona i matka kochały się bardziej, niż to potrafię opowiedzieć. Ojciec był również jej najlepszym przyjacielem. Oczywiście, musiała się trochę uczyć, pracować, ale matka ułatwiała jej wszystko. Miała aż za wiele czasu na zabawę w ogrodzie i w winnicy. Niejedno pyszne, dojrzałe grono złasowała. Ojciec pozwalał na to; dobry, kochany ojciec pozwalałby najchętniej na wszystko.

Potem brat-kapłan wrócił do domu i został kapelanem w miasteczku, w którem mieszkali jego rodzice. Była to dla wszystkich wielka radość.

Ale tak już bywa, że Pan Bóg daje pobożnym kapłanom dziwny dar poznawania Jego Woli. Więc brat-ksiądz poznał, że Pan Bóg ma co do Zosi swoje zamiary. Coby to było — tego nie wiedział, w każdym razie coś, do czego powinna się przygotować dłuższemi studjami, skupieniem i opanowaniem samej siebie, a nie ciągłą zabawą w winnicy!

Dlatego przyszedł pewnego dnia i powiedział: „Dość już tej zabawy i tego łasowania winogron, Zosiu, teraz musisz się uczyć!"

Możecie sobie wyobrazić, jak się Zosia, mała figlarka, przestraszyła. Zwłaszcza gdy spostrzegła, że uczyć się musi wiele, bardzo wiele. Zaledwie jedną godzinę w ciągu całego dnia miała dla siebie, nawet na przechadzki musiała zabierać książkę. A brat był bardzo surowym nauczycielem. Niczego jej nie darował. Aj, dzieci, jakby wam było, gdybyście nagle musiały tak pracować?

Nigdy teraz nie miała Zosia żadnego *congé*. Wydało jej się to ciężkie nad wyraz, tem więcej, że zupełnie nie była przyzwyczajona do mozolnej pracy.

Raz brat wyjechał. Ach, jakże się Zosia cieszyła! „Mam czternaście cudownie wolnych dni" — myślała zadowolona i pobiegła do winnicy, do innych dzieci. Brat zadał jej lekcje, lecz ona sobie mówiła: „Odrobię je w przyszłym tygodniu!"

Ale, cóż za rozczarowanie! Srogi nauczyciel wrócił już trzeciego dnia, zapytał oburzony o zadania, skończyły się piękne dni! „Dlaczego psuje się zawsze coś pięknego?" — biadała Zosia i wypłakała się przy swojem obłaskawionem jagniątku, które jej ani na chwilę nie opuszczało. Takie to było miłe jagniątko!

Widzicie, że Zosia nie była szczególnie grzeczna, pilna i ambitna. Nie była wcale lepsza od was, moje małe dziewuszki. Ale nigdy nie zrobiła

jednej rzeczy, chociaż pokryjomu wiele łez przelała z tego powodu, nigdy nie powiedziała: „Nie, ja nie chcę!" — ponieważ zrozumiała, że to Pan Bóg dał poznać jej bratu, że tak być musi. Z początku tylko nie mówiła: „Nie". Potem raz powiedziała odważnie: „Tak, Panie Boże!" I patrzcie, jakoś złagodniała cała gorycz pracy. Odtąd więcej miała ochoty do książek niż do wszystkich zabaw dawniejszych!

Czy była dlatego świętą? Wcale a wcale nie! Ona tylko nie uciekła, gdy Pan Bóg ją zawołał: „Pójdź, drogie dziecko!" Oczywiście, że mocno kochała Zbawiciela i Najświętsze Serce Jezusowe!

Matka Barat zamilkła i przez chwilę wpatrzyła się promiennym wzrokiem w statuę Najśw. Serca Jezusowego.

Potem ciągnęła dalej:

— Na Francję spadła straszna rewolucja, wszystkie o niej wiecie. Brat Zosi udał się do Paryża, aby nieść pomoc i ulgę prześladowanym. Biedna matka zamartwiała się strasznie o jego życie. On został również przez zdrajcę wydany i aresztowany. Wrzucono go do strasznego, ponurego więzienia w twierdzy Bastylji. Ach, to było okropne.

Matka jego płakała nieustannie. Bo codzień wyprowadzano stamtąd więźniów na ścięcie, bez miłosierdzia. Zosia musiała pocieszać biedną matkę a także i ojca. Nieraz wydawało jej się, że jej samej serce przytem pęknie. Bo kochała swego nauczyciela-brata każdą cząstką swej istoty. Ach, nie czuła się bohaterką i świętą, nie

pragnęła wcale męczeństwa, ani dla siebie, ani dla niego!

Ale często modliła się przed ołtarzykiem Najświętszego Serca Jezusowego: „Trudno się nam obejść bez niego, ale jeżeli chcesz go mieć, Najsłodszy Zbawicielu, to weź go, my nie powiemy: nie!" A rodzice modlili się tak samo.

Pan Bóg zadowolił się tą ofiarą dobrej woli. Nie zabrał młodego kapłana, lecz ochraniał go cudownie. Tak się zdarzyło przypadkiem, że Ludwik oddał kiedyś dawniej wielką przysługę człowiekowi, który we więzieniu wypisywał nazwiska skazanych na śmierć. Ten się teraz odwdzięczył. Nie jeden raz podyktowano mu wśród innych nazwisko księdza Ludwika, bo i on miał pójść na ścięcie. Ale człowiek ów udawał, że nie słyszy, i nie wpisywał nazwiska na czarną tablicę.

Tak było aż do końca rewolucji. Brata Zosi wypuszczono z więzienia. Był wychudzony i blady jak widmo, aż się ludzie w miasteczku przestraszyli. Ale żył, a rodzina nie posiadała się wprost z radości. On sam chętnie byłby zginął śmiercią męczeńską. Ale nie mówił o tem nikomu.

Wkrótce musiał wrócić do Paryża, bo tyle tam było zrozpaczonych, pogrążonych w żałobie, których należało pocieszać. A kapłańskie jego serce wiedziało: Bóg chciał, by Zofja była również w Paryżu. Miała się i tego nauczyć, jak się obywać bez miłości, którą otaczali ją w domu ojciec i matka. Zbytnio też podziwiały młodziutką

studentkę przyjaciółki. Ona zaś miała przygotować się do trudnej pracy, jaka ją czekała. Musiała nauczyć się być bardzo silną duchem i pokorną.

Ciężko było bratu powiedzieć o tem Zosi i rodzicom, bo wiedział, jacy będą nieszczęśliwi z tego powodu. Zosia miała dopiero piętnaście lat i nigdy jeszcze nie wyjeżdżała z domu. Nie mogła ani na jeden dzień rozstać się z matką. Zrazu nie mogła pojąć tej strasznej myśli. Ale wyraźny głos w jej sercu powiedział, że Ludwik oznajmił jej wolę Bożą. Cóż więc miała zrobić? Przecież tak Boga kochała. Więc znów powiedziała: „tak", chociaż ze łzami. I pojechała do Paryża.

Tu pod kierunkiem brata wiodła życie surowe, poważne, spokojne. Ale ponieważ to było dla Boga, nie wydawało się ciężkie, lecz cudowne i piękne. Tak przeszło sporo lat.

A potem, dzieci, stało się coś osobliwego. Zosia nie była, jak wam mówiłam, ani szczególnie dobra, ani szczególnie mądra, a przedewszystkiem wcale, ale to wcale nie była święta. Mimo to wybrał Pan Bóg dla niej wielkie i trudne bardzo dzieło. A to było tak.

Pan Bóg objawił dwu świętym kapłanom to dzieło, którego należało dokonać. Miały je wypełnić kobiety, obaj zaś kapłani mieli znaleźć godną założycielkę. Szukali wiele lat wśród najlepszych, najmądrzejszych i wysoko postawionych kobiet naszych krajów, ale nie znajdywali. Jeden z nich umarł, a drugi był już bardzo smutny

i zniechęcony. Więc przybył do Paryża i odwiedził brata Zofji.

Zofja, zwykła wiejska dzieweczka, weszła, zdaje mi się, z wielkim białym dzbankiem kawy, który miał odtłuczone ucho. Obsługiwała skromnie czcigodnego gościa. I zaraz Pan Bóg powiedział owemu kapłanowi: „To jest założycielka, którą sobie wybrałem".



Kapłan nie mógł tego pojąć. „Ta?" — zadziwił się sam w sobie i wieczorem, gdy wrócił do domu, rozmyślał: „Ta przecież Panu Bogu nie wniesie ani jednego z tych przymiotów, które są potrzebne dla Jego dzieła". Stał zdumiony; przed nim leżał Nowy Testament. Otworzył go i przeczytał: „Chwała Panu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!" Skłonił się kapłan przed wolą Bożą i poszedł zapytać Zofji, czy jest

człowiekiem dobrej woli. Opowiedział jej wszystko, co mu było wiadome.

Możecie sobie wyobrazić, jak się Zofja przelękła. Wiedziała dobrze, że do dzieła, o którem kapłan mówi, brak jej sił, mądrości i cnoty. Zresztą zamierzała wstąpić do cichego zakonu karmelitanek i przygotowywała się do tego z wielką radością. Ale znów czuła, jak wtedy przy nauce, podczas rewolucji i jeszcze przed podróżą do Paryża, że Bóg tak chce. Więc musiała znowu powiedzieć: „Tak, Panie Boże!" — bo cóż miała zrobić? I tak spełniła owo dzieło, którego Bóg się domagał.

Oczywiście, tylko dzięki Jego wszechmocy, a nie, napewno nie dzięki własnym siłom. Była przecież taka mała i nędzna, sama z siebie wszystko tylkoby mogła popsuć.

Matka Barat umilkła; ręce jej drżały na kolanach.

— Peppino maleńka, pytałaś mnie — ciągnęła wesoło — czy niektórzy ludzie rodzą się świętymi, Bogu na pożytek. Czy świętymi, hm, nie wiem, sądzę, że nie. Ale wszyscy się rodzimy do służby Bożej. Tylko musimy być ludźmi dobrej woli i nie wolno nam mówić: „Nie", gdy Pan Bóg się czegoś od nas domaga. To nie jest takie trudne. On też nie mówił: „Nie", jakeśmy Mu włożyli okrutny krzyż na ramiona!

Matka Barat wstała.

— A teraz dobranoc, kochane dzieci — powiedziała czule — Bóg niech będzie z wami. Nie,

nie idźcie za mną. Chcę być trochę sama. A wy też macie zaledwie kwadrans, zaraz zadzwonią na wieczerzę. Dobranoc!

I spojrzawszy miłośnie ostatni raz dokoła, przyczem każda z dziewczynek sądziła, że matka Barat dla niej właśnie przeznaczyła swój uśmiech, cicha niewiasta odeszła w stronę klasztoru. Dziewczynki stały w milczeniu, bez ruchu, jak je *Madame Mère* opuściła. Gdy im znikła z oczu, wystąpiła z szeregu Maddalena.

— Coś wam powiem — rzekła w ciszy. — Mała Zosia, o której dopiero co słyszałyście, nazywała się Magdalena Ludwika Zofja Barat. To nasza Najprzewielebniejsza Matka. Znam jej życiorys. Matka Limminga opowiedziała mi go po mojem wyzdrowieniu. Teraz już wiem, że przez dobrą wolę można wyróść nietylko Bogu na pożytek, ale i zostać świętą.

Niebawem dzieci rozproszyły się po ogrodzie. Tylko Maddalena stała zamyślona przed statuą Najśw. Serca Jezusowego.

— Dlaczegoż i ja nie miałabym zostać świętą, Boskie Serce Jezusa? — zapytała cichutko.

A wszystkie w Rzymie dzwony wydzwoniły błogosławieństwo wieczorne.



O bohaterskim chłopcu Tarcyzjuszu

Działo się to w pięknej Italji, około 1700 lat temu. Dumnie wznosił się Rzym, stolica pogańskiego świata; białe jego pałace lśniły w blasku słońca. Mieszkańcy Rzymu byli potężni i bogaci. Cesarze ich kazali sobie oddawać cześć boską. Ale pod miastem, w jaskiniach i ciemnych, w glinie wydrążanych krużgankach, zwanych katakumbami, ukrywał się drugi Rzym. Inny, świętszy — Rzym pierwszych chrześcijan. Bo prześladowanie chrześcijan trwało jeszcze; kogo pochwycił rzymski siepacz, ten był stracony. Chrześcijanie nie mogli jeszcze myśleć o stawianiu kościołów dla swej Najświętszej Ofiary. Rano, przed świtaniem, schodzili się na mszę świętą w katakumbach i przyjmowali Chleb Żywota. Tak było i tego dnia, o którym wam chcę opowiedzieć.

Papież ukończył świętą czynność i ze stopni ołtarza przemawiał do wiernych, którzy się cisnęli dokoła niego. Czcigodny starzec był smutny. Bo w tych dniach postanowił cesarz Walerjan wydać jedno z igrzysk cyrkowych, w czasie których męczono chrześcijan okrutnie, rzucano ich dzikim bestjom na pożarcie, palono, niby żywe pochodnie.

Wiele owieczek z jego trzody oczekiwało tej godziny w strasznych więzieniach, i o nich to mówił papież. Nie to go smuciło, że mieli umrzeć. Wiedział, że z radosną pieśnią na ustach przejdą tę drogę krzyżową. Ale oto otrzymał od nich wiadomość, prośbę błagalną: „Ojcze, przyślij nam Ciało Pańskie jako wzmocnienie w ciężkiej walce!" Więźniowie łaknęli i pragnęli Komunji świętej.

Ale jak miał im ją posłać? Wielokrotne szeregi wojska strzegły dniem i nocą wejścia do więzienia, nikt nie miał odwagi zbliżyć się do nich. Wszyscy unikali tego groźnego miejsca, prócz kilku małych chłopców, którzy bawili się pośród żołnierzy.

Kilku małych chłopców! Myśl jak błyskawica przeniknęła papieża. Gdybyż mógł znaleźć dziecko, któreby zaniosło niepostrzeżenie tę najświętszą ze świętości do więzienia! Wzrok jego badawczo szukał w ciemnej jaskini, rozświetlonej migotem lampek oliwnych.

U stóp ołtarza klęczał ministrant. Papież znał go dobrze. Mały ten, może dziesięcioletni człowieczek nazywał się Tarcyzjusz, oczy miał czarne jak smoła i kędzierzawą główkę. Był pastuszkiem, a zarazem najzręczniejszym i najśmielszym wspinaczem z całej wsi. Jakże lśniły jego białe zęby, gdy się śmiał z całego serca! Ale w kościele umiał klęczeć przed ołtarzem jak posąg. Do Najświętszej Ofiary służył z większem przejęciem i powagą od innych. A gdy przystępował do Komunji świętej, oczy jego błyszczały jak gwiazdy.

Papież miał z niego prawdziwą pociechę. Czyżby jemu powierzyć wzniosłą misję?

— Pójdź tu, Tarcyzjuszu — rozkazał namiestnik Chrystusa.

Zdumiony malec usłuchał szybko i ukląkł u stóp starca.

— Czy potrafiłbyś dla Zbawiciela naszego słuchać, milczeć, śpieszyć, znieść wszystko, może nawet śmierć? — zapytał papież poważnie.

Chłopak spojrzał radośnie wgórę.

— Sądzę, że tak, Ojcze święty, bo kocham Dzieciątko Boże więcej niż wszystko inne na świecie.

Tak odpowiedział.

Wtedy następca Piotrowy pochylił się nad nim i wytłumaczył mu, co ma uczynić. Jaśniej, coraz jaśniej lśniły oczy chłopca. Tarcyzjusz potakiwał tylko głową, bo nie mógł mówić z wielkiej radości. A gdy mu papież wręczył złotą puszkę z Chlebem Anielskim, chłopak i płakał i śmiał się zarazem.

Troskliwie owinął mały posłaniec swój skarb białą chustą. Na ramiona zarzucił bronzową skórę baranią. Pod nią mógł niepostrzeżenie nieść ten skarb przez ulice.

Papież pobłogosławił go raz jeszcze. Potem Tarcyzjusz uradowany biegł przez ciemne krużganki wgórę ku światłu, stworzonemu przez Tego, którego niósł teraz w rękach.

Wesoło było na ulicach Rzymu! Szły roześmiane, rozgadane kobiety z koszami owoców na głowach. Ciemnolice dziewczęta niosły w połach szat naręcza kwiatów i żebrały: kup ode mnie trochę kwiatów. To znów przechodzili żołnierze w lśniących zbrojach. Ziemia drżała pod ich stopami; zewsząd biegli ludzie, aby na nich popatrzeć.



Niebo się śmiało, a słońce świeciło tak wesoło, jak tylko na południu świecić potrafi.

Przez tę ciżbę i tłok szedł mały pastuszek. Brunatną skórę baranią przewieszoną miał przez ramię, czarne kędziory zwijały mu się na czole. Nie patrzył ani w prawo, ani w lewo. Milcząc szedł swoją drogą. Prawą rękę wsunął pod barani kożuszek.

Ale w sercu swem rozmawiał pocichu a żarliwie.

— Przenajdroższe Dzieciątko — mówił wesoło i serdecznie — niosę Cię teraz pośród tych bied-

nych, niemądrych ludzi. Oni Cię nie znają. Niosę Cię, jak Marja przeczysta Cię niosła do pogańskiego Egiptu. Tam też stały świątynie i posągi bożków jak tu. Aleś wtedy miał przy sobie swą Najświętszą Matkę i świętego Józefa i łagodnego osiołka. Przyjmij mnie teraz za swego osiołka, najdroższe Dzieciątko Boże!

Wtem koło niego przebiegła gromada chłopców. Tarcyzjusz znał ich, byli to przyjaciele jego i towarzysze zabaw.

— Tarcyzjuszu, prędko, prędko! — wołali bez tchu. — Dobrze, że cię spotykamy! Tam przed bramą Appijską są obcy ludzie ze wschodnich krajów, pokazują różne sztuki.

Chłopcu serce zabiło żywiej. Sztukmistrze, czarnoksiężnicy! Jakie dziwy pokazują? Trzeba to zobaczyć.

Ale zaraz zawstydził się tej myśli, a ręka jego ścisnęła mocno małą puszkę, w której kryła się Wszechmoc cudowna.

— Nie mogę teraz, bo mam coś do czynienia — odpowiedział przyjaciołom.

Chłopcy zaczęli go przezywać, a jeden zawołał:

— On się boi czarnoksiężników!

I zaśmieli się wszyscy.

Tarcyzjuszowi krew uderzyła do głowy. Zacisnął jednak zęby, odwrócił się i poszedł dalej. Długo jeszcze brzmiały za nim drwiny i krzyki.

— Jak Ciebie żołnierze lżyli: „Witaj, królu żydowski", to Cię też pewnie piekło w sercu,

najdroższy Jezu! — powiedział cicho i odważnie odrzucił głowę wtył.

Szedł dalej, wciąż dalej. Już widział to miejsce, pod którem leżało Mamertyńskie więzienie. Tam w podziemnych ciemnościach modlili się bohaterscy chrześcijanie, przykuci do wilgotnych murów.

Teraz trzeba tylko przejść przez plac, przez *forum*[1]) i potem parę kroków wgórę na Kapitol[2]).

Serce biło mu coraz szybciej, świętą puszkę przyciskał mocno, jakby ją chciał ochronić od rąk zbójeckich. Uczucie wielkiej trwogi ogarnęło dziecko.

— Mocny Panie, święty Panie, ratuj mnie! — modlił się i błagał w sercu.

* * *

Słusznie przeczuwał Tarcyzjusz niebezpieczeństwo, wołając żarliwie: „Panie, ratuj mnie!", bo ręka Boża miała go zawieść w ciężką, straszną walkę. Pan chciał dać sposobność pobożnemu pastuszkowi, by stał się jednym z wielkich bohaterów Chrystusowych. Czy jednak chłopiec podejmie walkę i czy w niej wytrwa do końca?

Na placu siedziała gromadka chłopców. Byli to synowie możnych i bogatych panów, patrycjuszy,

---

[1]) *Forum* — plac zgromadzeń ludu w dawnym Rzymie.

[2]) Kapitol — jedno ze wzgórz Rzymu. Zbudowany był na niem zamek obronny i najważniejsze świątynie.

najznamienitszych urzędników miasta. Odziedziczyli już dumę swych ojców.

Bawili się w znaną grę wojenną. Jedni udawali nieprzyjaciół, osaczonych w twierdzy, drudzy rzymskich wodzów, którzy oblegali miasto. Była to gra ładna i wesoła, mali Rzymianie lubili ją nadewszystko. Bawili się niezmordowanie i wynajdywali coraz to ciekawsze sposoby zabawy.

A dzisiaj, jak na złość, brakowało im właśnie jednego gracza. Po rzymskiej stronie było o jednego wodza za mało, nie można było zdobyć nieprzyjacielskiego miasta. Chłopcy oglądali się od dłuższego czasu za jakim znajomym, aby uzupełnić liczbę uczestników.

Nadchodził Tarcyzjusz. Zapewne, nie był on synem patrycjusza. Ale ojciec jego posyłał go czas jakiś do szkoły. Stąd znał go jeden z chłopców.

Ledwie wszedł na plac, zaczęli nań wołać rozkazująco:

— Tarcyzjuszu, chodź tu, baw się z nami!

On nie zauważył ich początkowo, tak był zamyślony. Rozgniewało to porywczych chłopców. Jeden krzyknął nań:

— Co to znaczy? Masz prędzej słuchać, ty niewolniku, jak syn patrycjusza do ciebie mówi!

Tarcyzjusz ocknął się z modlitwy, przestraszony. Poważnie spojrzał na dużego chłopca i odparł:

— Czego chcesz ode mnie, Kajusie? Przestraszyłeś mnie! Dlaczego nazywasz mnie niewolnikiem? Jestem synem wolnego człowieka, tak jak i ty.

Starszy chłopak roześmiał się.

— Ze mną chcesz się równać, ty prostaku? To doskonałe! Nie wiesz, że mój ojciec jest najwyższym sędzią w Rzymie? A twój kim jest? Prawie — żebrakiem!

Nagły gniew opanował Tarcyzjusza, gdy usłyszał te słowa.

— Mój ojciec jest uczciwym człowiekiem, a czy twój jest takim — nie wiem.

Kajus rozwścieczony porwał go za ramię i zaczął nim potrząsać. Tu wmieszał się jeden z uczest-



ników zabawy. Potrzeba im przecież jeszcze jednego towarzysza; tak nie może być, jak się pokłócą, to wszystko przepadło. Tak przemawiali chłopcy do Kajusa; wkońcu udało im się uspokoić rozgniewanego. Powiedzieli też Tarcyzjuszowi, o co im chodzi.

Przez chwilę, króciutką chwilę zapomniał mały wysłannik boży o swem wzniosłem poselstwie, gdy Kajus lżył jego ojca. Ale wnet je sobie znów uprzytomnił i pojął, jakie niebezpieczeństwo grozi mu ze strony tych chłopców.

— Wspieraj mnie, wspieraj mnie — błagał strwożony — żeby mi Ciebie nie zrabowali!

A napierającym nań chłopcom odpowiedział spokojnie, że teraz nie może się z nimi bawić.

— Muszę wpierw wykonać pewne ważne zlecenie, ale potem, potem mogę się z wami bawić, ile zechcecie!

Oczy mu błyszczały ze strachu nie o siebie, o nie, lecz o świętość, którą niósł.

Napróżno jednak prosił, próbował żartować. Gniew chłopców wybuchnął, gdy spostrzegli, że on nie chce ich słuchać.

— Zbijcie go na kwaśne jabłko! Niech popamięta, że synom patrycjuszy nie wolno się sprzeciwiać! — krzyczał brutalny Kajus.

— Puśćcie mnie! — żałośnie zawołał Tarcyzjusz.

Ale nikt nie miał nad nim litości. Rozpieszczeni i despotyczni chłopcy nie chcieli poprostu wyrzec się żadnej zachcianki.

Ze wszystkich stron padały przezwiska, a wraz z niemi uderzenia i ciosy. Biedne dziecko kurczowo przyciskało do piersi ukochaną puszkę. Nadaremnie broniło się lewą ręką przed przewagą napastników. Aż Kajus zawołał:

— Co tam chowasz pod skórą? Dawaj to!

— Prędzej, pokaż! — zabrzmiało ze wszystkich stron.

— Nie wolno mi i nie uczynię tego — odparł chłopak mocno i stanowczo.

Czy po odwadze wyznania i po spokoju w bójce poznali ci brutalni chłopcy chrześcijanina? Może już widzieli chrześcijan w cyrku?

— To chrześcijanin, precz z chrześcijanami! — zabrzmiało nagle zewsząd.

Tarcyzjusz wiedział, że nic już nie może go uratować. Nie próbował się już dłużej bronić,



obiema rękami pochwycił swój skarb zagrożony.

— Jezu, Jezu — szeptał pobladłemi wargami.

Młodzi poganie rzucili się na chrześcijańskie dziecko, jak wilki na dogorywające jagnię. Niebawem, brocząc krwią z wielu ran, padł Tarcyzjusz na ziemię.

Jeszcze parę chwil, a byłby skonał pod razami rozszalałych przeciwników. Co byłoby się stało z Boską Tajemnicą, ukrytą na jego sercu? Ojciec

niebieski nie mógł dozwolić, aby Syn Jego doznał takiej poniewierki.

Dlatego w tejże chwili ukazała się na *forum* gromadka żołnierzy. Zdaleka słychać było potężne stąpania, groźny szczęk zbroi. Na przedzie szedł Sebastjan, ich oficer. Był jednym z najznamienitszych oficerów ulubionego pułku cesarza i — czego żaden poganin nie przeczuwał — był chrześcijaninem. Bezlitośni chłopcy w obawie przed jego gniewem rozpierzchli się jak plewy na wietrze.

Umierające dziecko leżało na bruku. Oficer podjął je miłosiernie. Poznał w niem małego ministranta, którego nieraz widział w katakumbach.

— Tyżeś to, Tarcyzjuszu? Co ty tu robisz? — spytał zasmucony.

Mały męczennik otworzył oczy. Gdy zobaczył Sebastjana, uśmiechnął się radośnie. Znał pobożnego wojaka.

— Leż spokojnie, dziecko, nie męcz się! — prosił Sebastjan, widząc, że konający usiłuje z największym wysiłkiem coś mu pokazać.

Ale Tarcyzjusz nie mógł jeszcze spocząć. Zebrał resztki sił i wyciągnął spod skóry zbitą, skrwawioną rękę z puszką.

— Dzieciątko Jezus dla więźniów — wyszeptał.

— O Boże! — powiedział oficer, a głos naraz mu się załamał. — Umierasz, aby Go bronić, mały bohaterze Chrystusowy! Bądź spokojny, ja sam zaniosę chleb anielski do więzienia!

Tarcyzjusz, szczęśliwy, uśmiechnął się z ulgą. Czy zrozumiał słowa Sebastjana? Westchnął jeszcze raz głęboko, a potem zamknął duże, wierne oczy.

Gdy je znów otworzył, patrzyły nań boskie oczy Pana i Zbawiciela naszego. Król wiekuisty niósł swego małego wojownika do królestwa swej chwały i szczęśliwości. Tam wielbi on Boga po wszystkie wieki.



Wielka Jałmużniczka Turyngji święta Elżbieta

Piękny dzisiaj mamy dzień — powiedział Bernard, paź, i zwinny jak kot wskoczył na niski przymurek; przylgnął do ściany szczupłem ciałem. Rozkosznie było tu w słońcu; Bernard omal że nie mruczał z lubości jak kot.

Jego paziowski strój jaśniał błękitem i srebrem; na stopach nieco grubokościstych miał wąskie, śpiczaste buciki. Łyskając w śmiechu lśniącemi zębami, patrzył zgóry na swą towarzyszkę Juttę. Stała pod nim i pożądliwie spoglądała na miejsce słońcem ogrzane.

Ale wąska, długa szata z żółtawego sukna i dobre obyczaje trzynastego wieku zabraniały dzieweczce surowo podobnych sztuk. Usiadła więc na brzegu studni i wtuliła głowę z rozpuszczonym włosem w gładkie liście bluszczu.

— Możesz mi wierzyć, Jutto — podjął Bernard na nowo rozmowę — bo tyle się obracałem w obcych krajach. Nigdzie na świecie nie jest tak pięknie jak na Wartburgu! Byłem tu ostatnio przed sześciu laty. Przed sześciu laty wyruszyłem stąd,

by rozpocząć służbę paziowską. Miałem wtedy osiem lat! W tym roku zostanę giermkiem. Pysznie!

Bernard przymrużył zielonawopiwne oczy i zerknął ku rannemu słońcu.

Cicho było teraz na wielkim podwórcu zamkowym. Tylko Lampart, ulubiony czarny pies młodego księcia, leniwie chwytał muchy.

Nad głowami obojga młodych powiewała dumnie chorągiew Turyngji. Była błękitno-srebrna, a na niej biało i czerwono pręgowany lew ze złotą koroną. Bernard próbował jako mały pędrak stawiać takie ogromne kroki jak ten lew herbowy. Jutta i on byli już wtedy dobrymi przyjaciółmi.

Potem chłopak, będąc dalekim krewnym tego domu, udał się do wuja księcia, Henryka, aby tam odbyć edukację, jak przynależało synowi rycerskiemu. Dzisiaj dopiero powrócił w ojczyste strony.

Jutta nie pochodziła z Turyngji. Daleko stąd, w słonecznej krainie węgierskiej stała jej kołyska. Czarnowłosa dziewuszka przybyła tu jako malutka dama dworu młodszej jeszcze od niej królewskiej dzieciny.

Wyniosły zamek Wartburg wydał się obu małym dzieweczkom jakąś czarowną bajką. Przy moście zwodzonym czekał na nie jasnowłosy chłopiec, aby je powitać. Dziesięcioletni chłopak z błękitnemi oczami, księcia syn jedyny. Pod bramą stali rodzice jego i wiele pań i panów.

Z kolasy, w której siedziała również i Jutta, z wielkiej srebrnej kolebki uniosło czterech niemieckich rycerzy malutką księżniczkę z dalekiej krainy, węgierskiego króla ukochaną córeczkę. Miała kiedyś poślubić Ludwika, jasnowłosego syna książęcego, i miała być panią na Wartburgu. Do tej godności musiała być wychowywana w Turyngji.

Kurczowo ściskała Elżbieta rękę małej swej rodaczki. Patrzyła jak wystraszona ptaszyna to na dużych rycerzy, to na wyniosłą, srogo spoglądającą panią, swą przyszłą świekrę. Była jeszcze Agnieszka, Ludwika młodsza siostra, która nieufnym wzrokiem mierzyła gościa z dalekich stron.

To wszystko działo się przed dziesięciu laty; teraz Elżbieta miała lat czternaście. W tym roku wśród wspaniałych uroczystości odbyły się jej zaślubiny z młodym księciem. Ojciec jego umarł, on był teraz panem Turyngji. I tak Elżbieta, zanim jeszcze sama przestała być dzieckiem, została matką tej krainy.

— Jutto — zagadnął Bernard i zeskoczył z przymurka nadół — Jutto, powiedz mi coś! Jak pani Elżbieta żyje teraz ze swą świekrą i ze szwagierką Agnieszką? Wiem przecież, jak tu wszystko dawniej bywało: nasze panie zatruwały życie twojej królewnie! Teraz władza jest przy niej. Czy ona stara się im odpłacić? Nie rób takiej srogiej miny, Jutto, i powiedz mi. Ja nic nie wygadam!

Chłopak zniżył głos i rozejrzał się dokoła, aby się upewnić, czy kto nie podsłuchuje. Jutta patrzyła na niego niechętnie.

— Widać, Bernardzie, że cię tu długo nie było! Bo inaczej nie mogłoby ci nawet przyjść do głowy, żeby pani nasza miała jakie mściwe myśli! Ona, najlepsza, najkochańsza ze wszystkich!



To ci powiem: dziecko rodzone nie mogłoby być czulsze dla swej matki i siostry, tak pani Elżbieta jest dobra dla starej księżny i jej córki Agnieszki.

— Tego już za wiele! — odparł na to chłopak. — One na to nie zasłużyły. Nieraz się zastanawiałem, dlaczego one są takie niegodziwe dla tej przemiłej dziewuszki. To oczywiście była czysta zazdrość! Nie mogły przeboleć, że Węgierka jest taka piękna. A że była przytem taka dobra i kochana, i że modliła się jak na obrazku świę-

tym, tego nasze panie nie mogły ścierpieć! Po roku stała się księżniczka Elżbieta ulubienicą całej Turyngji; stara nigdy nią nie była. Tak, nasze panie tutejsze to są ziółka!

— Milcz, Bernardzie! — rozgniewała się Jutta. — Jak śmiesz tak mówić!

Ale duży chłopiec śmiał się tak serdecznie, że aż mu łzy płynęły z oczu.

— Ach, Jutto, dobre z ciebie dziecko! My, paziowie, mamy już takie niegodziwe języki. Żebyś kiedy usłyszała, jak sobie wieczorem gawędzimy, ojej, napewnobyś posiwiała. Nie bądź taka! Nieraz dawniej też oboje oburzaliśmy się na księżnę panią. Pamiętasz, wtedy, gdy Elżbieta chciała zanieść kosz jaj swoim biednym. A drogą nadeszła księżna, zła, skrzywiona. Kiedy zobaczyła księżniczkę, krzyknęła: „Co tam znowu wynosisz?" I bęc, wytrąciła jej z rąk koszyk na ziemię. Elżbieta zaczerwieniła się, przez chwilę myślałem, że nie ścierpi tego! Ale nic nie odpowiedziała; schyliła się, aby pozbierać resztki łupin. Stara wiedźma zawołała ze śmiechem: „Co mi to za królewna, co klęka w pyle i zbiera nadbite jaja, niczem dziewka!" — i poszła dalej. Pomagałem księżniczce i przezywałem, ile wlazło. Księżniczka zgromiła mnie surowo: „Cicho, Bernardzie!" — a wskazując krzyż przy bramie, powiedziała: „Jezus również milczał!" Jutto, nigdy tego nie zapomnę!... A potem ta awantura w wielkiej sali, gdy stara księżna beształa naszą księżniczkę przed

całym dworem za to, że zdjęła w czasie mszy św. koronę z głowy i nisko się pochyliła przed Panem Utajonym. Elżbieta odparła tylko cicho: „Wybaczcie, matko, ale nie schodziła mi z myśli cierniowa korona naszego Zbawiciela, i dlatego zbyt mi ciężyła moja korona ze złota". O Jutto, złe to były czasy!

— To jeszcze nie były najgorsze, Bernardzie. Po twoim wyjeździe było o wiele gorzej. Jak umarł stary książę Herman, chcieli zmusić koniecznie młodego księcia, aby wypędził narzeczoną, a sobie wyszukał inną żonę. A gdy raz długo nie wracał, wszyscy triumfowali. Przy uczcie, w obecności naszej pani, opowiadano sobie, że książę Ludwik już nie chce słyszeć o swej narzeczonej! Wiesz, Bernardzie, w pokoju naszej pani stoi wielki krzyż. Wiele, wiele łez pod nim wylała! Widziałam je. Ale moja pani nie ścierpi gniewu, nie pozwoli na złe słowo ani sobie, ani mnie. „Pójdź, Jutto, ofiarujmy to naszemu Zbawicielowi — mawiała — jak to miło, gdy Mu mamy co ofiarować." I teraz też nie wolno ani o tem mówić, ani nawet myśleć. I dotrzymała tego, nasza dobra, kochana pani. Wrócił wreszcie książę Ludwik i dowiedział się od rycerza Waryny, jak rzeczy stoją. Był bardzo zagniewany i obrażony. I kazał oznajmić, że wesele odbędzie się tego lata. Piękne nastały czasy! Teraz pani Elżbieta jest szczęśliwa, ach, taka szczęśliwa. I wszystkich chce rozweselić, nawet dawnych wrogów.

— Jabym nie mógł być taki! — westchnął Bernard-młodzieniaszek i przejechał ręką po gęstej czuprynie.

Jutta roześmiała się:

— Wierzę ci, Bernardzie!

Wtem przez bramę wbiegła mała dziewczynka. Blade, chude stworzonko z rozczochraną główką. Wsunęła się skulona, trwożliwa, jakby przed kimś uciekała. Twarzyczka jej rozjaśniła się, gdy spostrzegła Juttę.

— Panno Jutto; droga moja panienko, proszę mi pomóc! — krzyknęła; podbiegła do niej i przerażona uczepiła się fałdzistej szaty.

— No, mały brudasie — puść tę suknię — zaśmiał się Bernard. — Czy goni cię wilk i chce połknąć?

— Wilk nie, ale syn kasztelana — odpowiedziało przestraszone dziecko.

W tej chwili młody odźwierny, odgrażając się, przystąpił do studni.

— To niegodziwe stworzenie przecież weszło na podwórzec — krzyknął oburzony — a ja jej surowo zabroniłem! Pewnie idzie do naszej najmiłościwszej pani. Ale dzisiaj, kiedy oczekujemy tak dostojnych gości, nie można naszej pani nagabywać.

— No, co się stało, maleńka? — zapytała Jutta życzliwie i otoczyła ramieniem drżące dziecko.

— Ach, panienko, mama taka znów chora i biedna. Ojciec złamał nogę przy rąbaniu drzewa, nie może pracować. Matka i my tacy jesteśmy

głodni. Marysia całą noc płakała. Nasza ukochana pani Elżbieta powiedziała u nas ostatnim razem: „Jak znów z wami będzie źle, to mi dajcie znać". A ten niedobry człowiek nie chce i nie chce mnie puścić.

Tu mała rzewnie się rozpłakała.

— Posłuchaj, dziecinko — starała się Jutta uspokoić dziewczynkę — nie trzeba z tego powodu



wypłakiwać oczek. Dzisiaj przedpołudniem istotnie nie wolno przeszkadzać naszej pani. Bo przyjechali panowie od jej ojca, króla węgierskiego, musi ich godnie przyjąć. Ale popołudniu zaprowadzę cię do niej, będziesz mogła wszystko opowiedzieć. A teraz, Gerhardzie — rozkazała niezadowolonemu słudze — zaprowadź ją do kuchni i nakarm porządnie. A trzymaj ją mocno, bo taka jest mała i lekka, że ci ją wiatr zdmuchnie!

Mała uśmiechnęła się i dygnęła, a ostatnie łezki stoczyły się jeszcze po policzkach. Potem odeszła z Gerhardem do upragnionej kuchni.

— Ach, żebyż wreszcie ustał ten głód! — westchnęła Jutta. — Dwa lata już trwa, i chociaż nasza pani wciąż pomaga i daje, ledwo można naród przy życiu utrzymać.

— Słyszałem — zauważył Bernard — że nasza pani rozdała już cały skarbiec i wszystkie zapasy. Tego już trochę za wiele, i wszyscy powiadają...

— Niech wszyscy uważają, co powiadają — przerwała mu Jutta ostro. — Już te czasy minęły, kiedy każdy mógł szarpać naszą królewnę, ile chciał. Książę dopiero niedawno odpowiedział szemrzącym panom: „Będę i z tego rad, jeżeli mi choć Wartburg zostanie!" Szczerze mnie to ucieszyło. To prawda, że pani Elżbieta cudów dokonywa. Dzień po dniu schodzi stromą drogą wdół do Eisenach. Pielęgnuje tam chorych w szpitalu, który wybudowała, i obdarowuje wszystkich. Przynosi pokój, dostarcza zarobków, bawi się z dziećmi, wszystkim pomaga. Ludzie szaleją niemal na jej widok. „Aniołem Turyngji" nazywają ją w całym kraju. Nasza pani daje wszystko. Nawet swoje drogie, piękne szaty rozdarowuje. I klejnoty, i własną koronę. Dlatego tak się przestraszyła, gdy się wczoraj dowiedziała, że przybyli posłowie króla węgierskiego. Teraz sama nie wie, co włożyć jako szatę książęcą, aby ich godnie przyjąć. Ale już późno. Muszę pójść zobaczyć,

czy pani czego nie potrzebuje. Bądź zdrów, Bernardzie, popołudniu musisz mi dużo opowiedzieć o swojej służbie. Coś mi się zdaje, że dotychczas tylko ja mówiłam.

— Bądź zdrowa — odpowiedział chłopak i zaśmiał się.

Długo jeszcze stał w miejscu i patrzył za nią wzrokiem zamyślonym.

* * *

W komnacie sypialnej stali obok siebie bezradnie Elżbieta i jej młody małżonek.

— To jest najgorsze, że twój ojciec, król, pomyśli, że ciebie tutaj traktują jak służebną, gdy posłowie zobaczą cię w tych ubogich szatach. Będzie się martwił i gniewał z tego powodu. Ach, siostro moja droga, musisz w przyszłości ograniczyć trochę swoją hojność. Nawet w dobrem, co za wiele, to niezdrowo.

Elżbieta spojrzała przestraszona na małżonka.

— Co mówisz, bracie kochany! Dobrego nigdy za wiele być nie może. Czy sądzisz, że Zbawicielowi naszemu moglibyśmy dać za wiele? Ależ, Ludwiku! — Elżbieta zaśmiała się wesoło. — Pomodlę się trochę. Pan nasz może mnie wesprze, jeżeli taka będzie Jego wola.

Ludwik ucałował jej dłoń i wyszedł. „Moja mała święta" — pomyślał z dumą i rozczuleniem.

Wtem wpadł jego paź.

— Panie, posłowie węgierscy właśnie nadjeżdżają! Kasztelan spuszcza most zwodzony!

— Idę już! — odpowiedział Ludwik.

Narzucił szybko czerwony płaszcz książęcy i pośpieszył ku szerokim schodom. Tam stanął, oczekując dalekich gości.

Skrzypiąc otwarła się z trzaskiem ciężka brama, wjechali węgierscy panowie. Mieli różnobarwne, bogate szaty. Z czubów szyszaków spływały białe pióra. Jeźdźców i rumaki okrywały od góry do dołu lśniące pancerze.

Rozciekawione oczy wyglądały z wszystkich okien zamku wartburskiego. Szmer i szepty, pełne podziwu, przebiegały szeregi na widok tych barwnych ludzi.

Życzliwie i z wielką godnością powitał książę swoich gości. Weszli z nim na schody i złożyli mu pozdrowienie od swego pana.

— Z utęsknieniem czekamy tej chwili, w której wolno nam będzie ujrzeć naszą najmiłościwszą królewnę — powiedzieli.

— Małżonka moja oczekuje was w sali — odparł Ludwik uprzejmie.

A potajemnie serce mu się ścisnęło.

„Ci panowie przyjechali tak wspaniale przybrani — pomyślał — a ta, którą przybyli odwiedzić, stanie przed nimi jak służebna."

Ludwik wprowadził gości do wielkiej sali.

Wtem — nie wie, czy ma wierzyć własnym oczom — podchodzi do niego Elżbieta. Ale nie taka, jaką przed chwilą pozostawił w komnacie.

Nie w tej skromnej samodziałowej szacie rdzawej. Przed nim stała królowa, że wspanialszej i malarz nie mógłby przedstawić.

Śnieżna jej szata przepasana była złocistym kosztownym pasem. Jasnobłękitny, srebrem tkany płaszcz spadał na nią, a brzeg jego lśnił od pereł. Na nogach miała Elżbieta srebrne trzewiczki; a szyję jej zdobił przepiękny naszyjnik. Na głowie jaśniała korona, połyskująca jak poświata słoneczna na fali morskiej. Ale piękniejsze ponad wszystko było oblicze młodziutkiej księżny.

Panowie węgierscy stanęli z zapartym oddechem. Tak byli olśnieni tem zjawiskiem jak z bajki, że nie śmieli się poruszyć. Potem wybuchnęli radosnemi okrzykami i złożyli gorący hołd cudnej królewskiej córze.

Gdy po wspaniałej uczcie kobiety odeszły do swych komnat, Ludwik długo jeszcze rozmawiał z posłami swego królewskiego teścia. Chciał za ich pośrednictwem zakupić wielkie zapasy zboża dla głodnej Turyngji. Popołudniu wesoły orszak ruszył z zamku na łowy.

Ludwik przed wyjazdem wstąpił jeszcze do ukochanej małżonki. Oto siedziała w rdzawej szacie i tkała sukno dla jakiejś biednej kobieciny.

— To było cudowne, droga siostro moja! — triumfalnie wykrzyknął młody książę i uścisnął ją, pełen najgłębszej czci.

— Widzisz, mój Najsłodszy Zbawiciel okrywa mnie perłami i różami swej miłości. Ach, On jest

taki dobry, taki dobry... — odparła uszczęśliwiona. — Szłam pełna trwogi, z biciem serca przez podwórzec i naraz zobaczyłam to. Jakże się zdumieli panowie! — śmiała się serdecznie.

Ludwik opowiedział jej, co omówił z panami i jak przez nich dostanie chleba dla wygłodzonego kraju. Elżbieta nie posiadała się z radości.

— Ale do tego czasu bądź oszczędna, droga siostro, i nie rozdawaj za wiele — prosił książę. — Sama wiesz, że nasze zapasy są już wyczerpane.

— Spróbuję, Ludwiku, ale czy potrafię? Kiedy ci biedacy są tacy głodni!

— Jeszcze tylko chwilę cierpliwości — pocieszał ją Ludwik.

Potem musiał odjechać z gośćmi.

W godzinę później Jutta przyprowadziła małą bladą dziewczynkę z Eisenach.

* * *

Elżbieta tym razem, oczywiście, nie mogła się oprzeć! Gdy mała opowiedziała o chorej, bladej matce, o tem, jak rodzeństwo płacze, jej samej łzy stanęły w oczach.

— Jeszcze tylko ten jeden raz — powiedziała — zato ja będę oszczędna i dzisiaj nie zjem wieczerzy. I tak nie jestem głodna.

— I ja też nie — zapewniła dobra Jutta.

Gdy zmierzch zapadł, mała gromadka skierowała się do Eisenach. Elżbieta w rdzawej szacie,

Jutta i mała żebraczka, uczepiona u ręki młodej księżny. Elżbieta i Jutta niosły każda jeden kosz, a w nim świeży, pachnący chleb. Szły tak drogą, niby zwykłe robotnice.

Jakże inną wydawała się teraz Elżbieta od tej księżny, która rano ukazała się w srebrzystych szatach! Ktoby się jednak dobrze przyjrzał, widziałby, że oblicze jej równie piękne było i urocze,



jak przedtem w cudnej koronie. Ale wielu nie umie patrzyć dokładnie! Dlatego widzą tylko suknie i zewnętrzne ozdoby, a nie widzą prawdziwej piękności.

Wiedział o tem książę Ludwik. Nic dziwnego, że się przeraził, gdy spotkał małą gromadkę w połowie drogi. Przeraził się tak bardzo, że aż mu krew do głowy uderzyła.

Oto za nim, nieco tylko oddaleni, szli posłowie węgierscy, byli za zakrętem, zasłaniały ich krzewy. Podobnie jako on, woleli użyć przechadzki

po myśliwskiej gonitwie. Rozprawiali teraz szeroko z turyngijskimi panami i dlatego pozostali wtyle.

Bardzo to Ludwikowi było niemiłe, że ci przybysze zobaczą teraz Elżbietę. Wstydził się też przed swoimi panami. Dopiero co obiecał im, że księżna będzie oszczędniejsza w swej dobroczynności. Jakżeż go to gniewało!

Elżbieta odczuła myśli Ludwika; zimno i gorąco robiło jej się naprzemian ze strachu. Rozgniewała drogiego małżonka — to było dla niej straszne. Mała żebraczka wtuliła się trwożnie we fałdy jej szaty. Jutta zarumieniona cofnęła się.

— Ależ, Elżbieto — przerwał Ludwik gniewnym głosem przykre milczenie — co tam znowu niesiesz?

Elżbieta chciała odpowiedzieć, wytłumaczyć, że Zbawicielowi nie można niczego odmówić, kiedy ją ozdobił różami i perłami swej miłości. Ale tak była zmieszana, że słów jej brakło.

— Róże... — zaczęła jakoś bez związku.

— Cotam róże! — przerwał jej zniecierpliwiony Ludwik i szybkim ruchem szarpnął chustę, okrywającą kosz. — Róże, teraz w zimie!

— Ależ nie... — próbowała tłumaczyć się Elżbieta.

Wtem chusta spadła na ziemię.

Cichy okrzyk wyrwał się wszystkim. Róże napełniały kosz Elżbiety! Róże zakrywały go, zwieszały się zeń na wszystkie strony, róże woniały

słodko i oszałamiająco. Czerwone, białe, żółte, bladoróżowe róże, róże, róże!

Padł na kolana drżący Ludwik. Ujął brzeg szaty swej świętej małżonki i ucałował go. Jutta i mała dziewczynka złożyły ręce jak do modlitwy. Elżbieta patrzyła na cud zdumionym i olśnionym wzrokiem. Zaczerwieniła się ta najcudniejsza róża Pańska.

Zabrzmiały głosy posłów węgierskich. Ludwik wstał i zmieszany spojrzał dokoła. Elżbieta uśmiechnęła się. Skinęła na Juttę i dziewuszkę. Wszystkie trzy zeszły nabok w las i tam przystanęły. Panowie turyngijscy i węgierscy przeszli mimo. Nikt nie zwrócił uwagi na kobiety przy drodze.

— Czy moja matka będzie mogła jeść róże? — zapytało dziecko z Eisenach, gdy znalazły się same.

Elżbieta roześmiała się.

— Podejmij tę chustę, Trudko, przykryjemy wasze chleby!

I troskliwie otuliła świeże, pachnące bochenki.

* * *

Święta Elżbieta żyła tylko dwadzieścia cztery lata. Ale w tym krótkim czasie zdołała wiele ofiarować Zbawicielowi! Nietylko swój majątek, księstwo, wszystkie ziemskie bogactwa i zaszczyty. Ofiarowała Mu coś droższego jeszcze: małżonka,

który zginął na wyprawie krzyżowej, i troje ukochanych dziatek!

Wszystko dała z taką samą ogromną miłością, z jaką ongiś robiła w dzieciństwie małe ofiary, z jaką później ofiarowywała swoje skarby i cenne rzeczy. I dlatego Pan Bóg ją tysiącznie wynagrodził!

I dzisiaj jeszcze daje jej wszystko, o co Go poprosi. A święta Elżbieta rozdaje dzisiaj dary równie chętnie, jak ongiś w Turyngji. Rozdaje wszystkim ludziom, a zwłaszcza głodnym dzieciom!

Towarzysz zabawy Dzieciątka Jezus bł. Herman Józef

Słuchajcie dzisiaj historji pewnego małego chłopca. Myślę, że będzie się ona wam podobała. Chłopiec ten nazywał się Herman, urodził się w roku 1150 w Kolonji nad Renem. Rodzice Hermana byli bardzo bogaci. Przez wiele lat nie mieli ku swemu wielkiemu zmartwieniu wcale dzieci. Gdy im Pan Bóg dał wreszcie syna, nie posiadali się wprost z radości. Niechże on — tak postanowili — zakosztuje wszelkiego dobra i piękna, jakiego w życiu można użyć. Na chrzcie dali mu umyślnie na imię „Herman", aby wszyscy wiedzieli, że będzie panem bogatym, możnym i wesołym. Niczego, ale to niczego nie miało brakować ich synkowi!

Anioł-Stróż małego Hermana przestraszył się niemało, gdy słyszał te niemądre słowa, które dumni rodzice Hermana wypowiadali nad kołyską dziecka. Poleciał do Marji Panny ze skargą: „Już od samego początku chcą mi rozpieścić i popsuć mego najmilszego wychowanka, tak, że wolę będzie miał słabą, a serce pełne ziemskich myśli!" Marja powiedziała o tem Panu Bogu.

I tak się stało, że wniwecz obróciły się marzenia próżnych rodziców. Ledwo Hermanek przyszedł na świat — majątek ich zaczął topnieć gwałtownie. W ciągu kilku lat stracili ci bogaci ludzie wszystkie pieniądze. Biedacy, martwili się tem bardzo! A najbardziej ich to smuciło, że takie ciężkie życie czeka ich synka. Później, w niebie, inaczej pewnie sądzili!

Hermanek nie dbał o pieniądze ani o wygody. Żył zdrowy i wesoły jak ptaszek. Z pewnej starej książki, w której spisana jest historja jego życia, można się dowiedzieć, jaki był pogodny i słoneczny. Był podobno ulubieńcem swoich towarzyszy. Bo tak kochał wszystkich ludzi.

Najbardziej jednak kochał Jezusa i Marję. Gdy wesoły uczniaczek wychodził ze szkoły, biegł najpierw pokryjomu do wielkiego kościoła. Stał tam piękny wizerunek, zapewne statua, przedstawiająca Marję, przeczystą Dziewicę z Boskiem Dzieciątkiem na ręku.

Tu było ulubione miejsce Hermanka. Siadywał tam, gwarząc i śmiejąc się; opowiadał Matce Najświętszej wszystko najdokładniej, co się wydarzyło w szkole, w domu, na placu zabawy. Zaśpiewał Jej też zawsze jedną lub dwie pieśni, a potem pocwałował do domu albo do zabawy z dziećmi.

Po obiedzie miał dobrą godzinę wolną. I znowu śpieszył przed swój ukochany ołtarz. Przynosił też z sobą resztki jedzenia: chleb albo jabłko, które włożył do kieszeni, byle prędzej wstać od stołu.

Przykro mu było, że nie mógł się podzielić z Dzieciątkiem Jezus, jeżeli coś przy Niem zajadał. Często prosił i prosił Marję:

— Pozwól przecież swemu Synowi zjeść też jabłko!

Marję serce boli, gdy musi odmówić prośbie swych dzieci. Kiedy raz Herman znów Ją tak bła-



gał, zezwoliła wreszcie: życie wstąpiło w poświęcaną statuę, Marja pochyliła się, przybliżając Dzieciątko do chłopca, i Jezusek wziął śliczne, czerwone jabłko i zjadł je z ochotą. A Herman śmiał się i wykrzykiwał z radości.

Ponieważ Herman sprawił przyjemność Boskiemu Dzieciątku, Marja, matka najdobrotliwsza, chciała jemu też coś dobrego wyświadczyć. Uczyniła to w cudowny zaiste sposób.

Gdy wkrótce potem przyszedł do kościoła jak zwykle, ujrzał wspaniały blask dookoła wielkiego ołtarza. Biegnie w tę stronę i co widzi? Na stopniach ołtarza stoi Dzieciątko Jezus, a Jan Chrzciciel, krewniak Jego, bawi się z Niem. W wielkiem czerwonem krześle obok siedzi Marja i patrzy na nich z uśmiechem.

Ledwie Herman nadbiegł, Najświętsza Panienka wstała i skinęła nań życzliwie. Zawołała:

— Pójdź tu do nas, kochany Hermanie!

Hermanowi zaśmiały się oczy i poczęły się rozszerzać z zachwytu i pożądania coraz bardziej i bardziej. Ale cóż, kiedy wysoka krata oddzielała ołtarz od nawy, jak to zwykle bywa w starych kościołach.

— Nie mogę, bo krata zamknięta, a niema drabiny, żebym mógł przeleźć — skarżył się Matce Boskiej.

Niepokalana uśmiechnęła się i rzekła:

— Spróbujno, czy potrafisz się wdrapać na kratę. Podam ci rękę i pomogę.

Mały łobuz nie dał się dwa razy prosić. Wspiął się jak wiewiórka po wysokich sztabach. Macierzyńska ręka Marji zdjęła go z tamtej strony i poprowadziła do Boskiego Dzieciątka.

— Widzisz, Hermanie miły, — powiedziała — mój słodki Synaczek i Jan kochany chcą się z tobą pobawić!

Któż opisze te cudowne chwile, jakich zaznał teraz pobożny chłopczyk? Ale wreszcie zabrzmiały dzwony na południe. Herman powstał zasmucony i rzekł:

— Muszę już do domu, Matko Najświętsza!

Marja pomogła mu znów przeleźć przez kratę, tak że na czas przyszedł na obiad.

Jeszcze kilkakrotnie zapraszała Marja swego ulubieńca. Uszczęśliwiony wdrapywał się na kratę



i był towarzyszem zabawy Dzieciątka Jezus, zażywając już tu na ziemi niebiańskich radości.

Była ostra zima, gdy Herman przyszedł raz, aby się pomodlić przed ukochanym wizerunkiem. Rodzice jego byli teraz tak biedni, że nie mogli swemu jedynakowi kupić bucików, aby miał w czem chodzić po śniegu.

Ale to straszne zimno nie powstrzymało malca. Z posiniałemi stopami stał przed swoją Matką Bożą i śpiewał Jej pieśni.

Marja patrzyła na niego pełna miłosierdzia. Znów sama zstąpiła we własnej osobie na ołtarz i rzekła:

— Ależ Hermanie miły, czemu chodzisz boso w taki mróz?

— Nie mam bucików, Matko Marjo — odparł Herman. — Ale to nic nie szkodzi — dodał dzielnie.

— Idź do tego kamienia, który tu leży — rozkazała mu Królowa Niebieska. — Są tam pieniądze. Weź je i poproś, żeby ci za nie uszyli buciki.

Chłopiec posłuchał ucieszony, i oto patrzy: przyobiecane pieniądze leżą pod płytą kamienną.

— Weź je — powiedziała Marja — a ile razy będziesz potrzebował jakiejś rzeczy, masz się udać na to samo miejsce.

Dziecko podziękowało radośnie i pobiegło do domu, by sobie kupić mocne, ciepłe buty. I nieraz jeszcze przyjmował jałmużnę od naszej Najmiłościwszej Pani. Oczywiście tylko w razie największej potrzeby. Gdyż zawsze odznaczał się wielką skromnością i zamiłowaniem do ubóstwa, które mu uprosił jego Anioł-Stróż.

Sczasem zmiarkowali inni chłopcy, skąd Herman bierze pieniądze. Starali się pokryjomu uczynić to samo. Ale gdy zuchwale podnieśli szary kamień, nic pod nim nie znaleźli.

* * *

Możemy się domyślić, że chłopiec ten, któremu Jezus i Marja od najwcześniejszego dzieciństwa taką cudowną miłość okazali, nie miał w życiu iść zwyczajną drogą. Był napół dzieckiem, a już taką tęsknotą za Jezusem pałało jego serce, że nie chciał nic wiedzieć o świecie i jego wygodnem, codziennem życiu. Wstąpił do klasztoru cystersów i tam



dożył dziewięćdziesiątego roku życia jako wzór wszelkich cnót.

W świętem posłuszeństwie musiał przeorowi w późniejszych latach opowiedzieć o licznych łaskach, jakie w swem życiu od Boga otrzymał. Ów spisał wszystko z drobiazgową troskliwością i nam przekazał. Książka ta opowiada o cudownych, niezwykłych cnotach wielkiego męża Bożego, a także o licznych walkach i pokusach, któremi go djabeł

dręczył. Gorąca miłość do Jezusa i Marji, ona to duszę jego wyniosła tak wysoko.

Herman cierpiał tak wiele w swojem życiu jak niewielu ludzi. Tylko przez cierpienie możemy sobie wysłużyć tyle łaski i chwały. Marja nie zapomniała głębokiej miłości Hermana. Wielokrotnie ukazywała mu się, pocieszała i dbała o niego jak prawdziwa matka.

Raz młody zakonnik zachorował. Doktór puścił mu krew według ówczesnego zwyczaju. Miał więc głęboką ranę na ramieniu. Usnął wyczerpany. We śnie obrócił się, tak, że leżał na chorej ręce. Mógł był umrzeć z upływu krwi, gdyby rana się otworzyła.

Zobaczyła to Marja i pośpieszyła z pomocą. Jak matka, czuwająca przy chorem dziecku, dotknęła Hermana, obudziła go i rzekła: „Uważaj! Położyłeś się nieostrożnie na chorem ramieniu!"

Potem ułożyła go troskliwie, aby mu się nic nie stało, otuliła kołdrą i została przy nim, aż dopóki nie usnął.

Tyle cudownych łask doznał Herman w ciągu swego długiego, świątobliwego życia, że niesposób je tutaj wyliczyć. Widział anioły, stojące w prezbiterjum i kołyszące wonnemi kadzielnicami. Cudna woń unosiła się dokoła niego, ilekroć wchodził do kościoła. Święci przybywali i rozmawiali z nim zażyle jak z bratem.

Ale Marja najśliczniejsza wciąż była przy nim i często pozwalała mu patrzeć na swą olśniewa-

Mały kwiatuszek Teresa od Dziec. Jezus

Czyście widzieli kiedy w ogrodzie, nad strumykiem lub w lesie mały kwiatek, o którymby wam przyszła myśl:

— Temu dobrze jest na świecie. Nie ominie go ani jeden z promieni, które od rana do wieczora ziemię całują; deszcz i rosa poją go za vs swemi kroplami. — Mogła to być tylko stokrö z piękną różową krezą lub jakiś szczególnie złoty kaczeniec.

Jeżeli widzieliście taki kwiatek, to go wspomnijcie teraz, gdy wam opowiem dzieje pewnego kwiatka ludzkiego. Zasadził go Pan Bóg może przed pięćdziesięciu laty w swym ogromnym ogrodzie, którym jest cały świat, Sobie i nam na pociechę.

Mały ten kwiatek zwał się na ziemi Teresa Martin[1]). „Małym kwiatkiem" nazywa się i teraz jeszcze w Kościele katolickim. A jak ją Bóg w niebie nazywa, dowiemy się dopiero wtedy, gdy się z nią spotkamy w rajskim ogrodzie.

[1]) Czytaj: Martę.

Gdy Tereska po raz pierwszy otworzyła zdumione oczęta, zobaczyła wiele twarzy, pochylających się czule nad jej kołyską. Prócz ojca, pana Ludwika, i matki, pani Zelji, jeszcze cztery starsze dziewczynki patrzyły z podziwem na małego przybysza. A spoza ich ramion, niewidoczne dla ludzi, uśmiechały się na powitanie twarzyczki czworga rodzeństwa, kt[illegible] Bóg już do swojej chwały powołał.

Przy chrzcie Ter[illegible]a krzyczała przeraźliwie. Ludzie śmieli się z [illegible]go:

— Ta[illegible]najmniej wypędza djabła dokumentnie!

B[illegible] tak twierdzi stare przysłowie.

Zresztą, mniejsza o to, dość, że Tereska musiała być rozkosznem dzieckiem. Matka kochała ją nadewszystko. Nie mogła się z nią rozstać nawet na parę minut. Pani [illegible]ja pisała wówczas do przyjaciółki: „Gdy T[illegible]eska wchodzi na schody, woła na każdym stopniu: ‚Mamusiu, Mamusiu!' A gdy jej zaraz nie odpowiem, jest tak prz[illegible]rażona, że się boi ruszyć z miejsca!"

Ma się rozumieć, dziecko miało wtedy zaledwie dwa lata; inaczej tego rodzaju dowody miłości stałyby się dla matki nieco męczące, ale w tym wieku nie mogło jeszcze zbyt często robić wycieczek na schody.

Ojciec z rozkoszą pozwalał się tyranizować swej ulubienicy. Gdy wracał do domu, mała zawsze wybiegała naprzeciw i stawała mu na stopie.

Ojciec obnosił ją w ten sposób po ogrodzie, po pokojach, a ona aż pokrzykiwała z radości. Matka mówiła nieraz, że nie powinien jej tak rozpieszczać.

— Cóż mam robić? — śmiał się ojciec. — Przecież to moja mała królewna!

Przez całe życie nazywał ją „królewną", a sam był dla niej najukochańszym „królem".

Mimo że Tereska była oczkiem w głowie obojga rodziców, oni jednak nie omieszkali zwalczać jej wad. Bywała nieraz uparta. Wtedy jej nie pobłażali.

Raz jako trzyletnie dziecko schowała w dziecinnym uporze główkę pod kołdrę, nie pozwalając, aby matka na nią patrzała. Pani Zelja zganiła córeczkę za nieposłuszeństwo i zeszła nadół. Po chwili Tereska wbiega do pokoju matki, plątając się w fałdach długiej koszulki nocnej. Z płaczem rzuca się przed nią na kolana i błaga żałośnie:

— Mamusiu, przebacz mi, byłam taka niegrzeczna.

Państwo Martin byli bardzo pobożni, więc dziewuszka nauczyła się od dzieciństwa kochać Jezusa. Ledwie umiała chodzić, a już uczono ją walczyć ze swemi wadami z miłości do Jezusa.

Aż do czwartego roku życie tego dziecka było pełne miłości i uciechy. Sama opowiada o sobie, że ziemia wydawała jej się wtedy rajskim ogrodem. Ale Pan Bóg wiedział, że Jego małemu

kwiatkowi potrzeba również deszczu i wichury, aby się mógł w pełni rozwinąć.

Dlatego przyszedł na Tereskę okres łez. Nie miała jeszcze pięciu lat, gdy spadło na nią największe nieszczęście, jakie może spotkać dziecko: umarła jej najukochańsza, tak pogodna i wesoła matka! Tereska była wprawdzie mała, ale niezwykle rozwinięta. Więc odczuła głęboko śmierć matki, ból ojca i starszych sióstr, aż nazbyt głęboko!

Od tego dnia stała się innem dzieckiem aż po czternasty rok swego życia. Z małej dzikiej różyczki przeistoczyła się we wrażliwą mimozę. Już teraz nie upór czy pustota były jej największemi wadami, lecz nader wielka wrażliwość i strach przed ludźmi. Każdym drobiazgiem tak się przejmowała, że zaraz zalewała się gorzkiemi łzami, mimo starań usilnych, by zwalczyć tę wadę.

Wielką miłością otaczali ją ojciec i siostry. Jak mogli, pomagali jej słabość swą przezwyciężać. Najczulszą z sióstr była Paulina; obiecała Tereni, że będzie teraz jej „mateczką". Celinka zaś była najweselszą towarzyszką zabaw. Ojciec pozostał jej „królem".

Ale najlepszym przyjacielem stał się niebawem jej boski Ojciec i Król, Jezus Chrystus. Bardzo wcześnie obiecała Mu, że będzie Jego oblubienicą. I od tej pory uważała się za Jego kwiatek. Dla Niego chciała żyć, kwitnąć i woń słodką wydawać.

Ale była jeszcze dzieckiem, więc pobożność jej splatała się razem z zabawą. Terenia i Celinka bawiły się w „pustelników". W kącie ogrodu była jama; obok niej założyły grządkę. Na niej miały rość najprostsze potrawy świętych pokutników. Celinka skubała i skrobała grządkę wielkiemi grabiami, Tereska tymczasem musiała klęczeć z wyciągniętemi ramionami przed krzyżem. Potem na



nią przychodziła kolej ciężkiej pracy, a Celinka musiała się modlić.

Obawiam się, że owoce tego ogródka nie byłyby nawet najbardziej umartwionego pustelnika utrzymały przy życiu. Toteż zapobiegliwa Celinka przynosiła z domu różne dobre rzeczy w koszyku. Tak więc życie pustelnicze kończyło się wesołą ucztą, przyczem obaj „święci mężowie" robili znak krzyża świętego nad każdym smacznym kąskiem, zanim go spożyli.

Aniołowie-Stróżowie pewno się bardzo cieszyli temi zabawami.

Raz pięcioletnia Terenia poszła z ojcem wieczorem na przechadzkę. Co za uciecha!

— Tatusiu, patrz! — wykrzyknęła radośnie — tam na niebie jest wypisane moje imię.

Zobaczyła „pas Orjona", czyli grupę gwiazd, która istotnie przypomina dużą literę *T*.

Oczywiście, że gwiazdy Orjona świeciły już niemałą chwilę przed urodzeniem Teresy. Ale nie pomyliła się znów tak bardzo. Imię jej było już nieraz z pewnością wymienione w niebie — czyż nie miała tam ukochanej matki i czworga rodzeństwa? A czy Boski Przyjaciel dzieci nie czuwał sam nad swą ulubienicą?

Ale mimo tej pięknej litery *T* na niebie, nie była Tereska dzieckiem bez wad. Sama opowiada, jak się raz rozgniewała na swoją nianię: rzuciła się na nią, prychając jak kotka. Dziewczyna ta, Wiktorja, zdumiała się wielce, bo nigdy jeszcze dotąd dziecko nie wpadło w taki gniew. Potem się okazało, że było to nieporozumienie. Pięcioletnia grzesznica zawstydziła się bardzo i złość swą zmyła rzewnemi łzami skruchy. Od tej chwili szatan gniewu nie miał już nad nią władzy.

Wielki, długotrwały ból po utracie matki bardzo zaszkodził delikatnemu dziecku. Do tego dołączyło się drugie cierpienie. Bóg zabrał jej „drugą mateczkę": Paulina wstąpiła do klasztoru karmelitanek. Tereska była zupełnie złamana i wprost nie mogła przeboleć rozłąki.

Dla Pauliny było to też zapewne ciężką ofiarą opuścić małą siostrzyczkę, swoje „dziecko". Wiedziała dobrze, jak bardzo Tereska potrzebuje jej macierzyńskiej miłości. Ale zaufała całkowicie Bogu, który ją wołał. Bóg kochał nietylko ją, ale i jej małą Terenię miłością nieskończoną. Jeżeli zabierał jej jedną matkę ziemską po drugiej, to tylko dlatego, by ją całkowicie uczynić swojem dzieckiem. I tak też było.

Ale Tereska odchorowała tę rozłąkę. Zapadła na ciężką chorobę mózgową. Najpierw miewała przewlekłe, straszne bóle głowy, potem myśli jej zmąciły się, tak że nikogo nie poznawała. Męczyły ją jakieś okropne majaki.

Zdawało się, że już koniec bliski. Ojciec z córkami klęczeli dokoła łóżeczka, błagając ze łzami Najświętszą Dziewicę o ratunek w ostatniej godzinie.

Prośby ich zostały wysłuchane w sposób cudowniejszy, niżby kto mógł się spodziewać. Wśród tych gorączkowych majaczeń, o których Teresa sama opowiada: „Wiedziałam, że nikt mi nie może pomóc, i umierałam z rozpaczy", ukazało się cierpiącemu dziecku jaśniejące zjawisko. To Marja stanęła przed Teresą i uśmiechnęła się do niej.

W tym momencie przeszły wszystkie cierpienia. Gdy Najczystsza Dziewica zniknęła, chora powiodła przytomnym i szczęśliwym wzrokiem po swych ukochanych. Była uzdrowiona! W sercu

jej zapłonęła niewygasająca wdzięczność i czułość dla Matki Bożej.

Niedługo potem odbyły się obłóczyny Pauliny. Tereska już teraz nie płakała rozpaczliwie przy kracie klasztornej, gdyż ofiarowała siebie jako zabawkę Boskiemu Dzieciątku, którego Matkę własnemi oczyma oglądała. Niech z nią robi, co Mu się podoba. Tereska będzie milczeć, — niech mówi Dziecię Jezus.

* * *

Po tych burzach i łzach nadszedł niezrównanie piękny dzień jej pierwszej Komunji świętej.

„Mały kwiatek" kwitł oczywiście wciąż ze szczególną ochotą przed tabernakulum. Sama opowiada, z jaką przeogromną radością sypała kwiatki na procesjach Bożego Ciała. Co kilka kroków odwracała się i szybkim ruchem rzucała wgórę ku Hostji Najświętszej płatki różane. I radowała się z całej duszy, jeżeli kwiaty dotknęły złotych promieni monstrancji.

Może niejednemu z dorosłych nie podobał się pomysł Tereski. Ale Boski Przyjaciel Dzieci cieszył się tem z pewnością. A gorąca pobożność, malująca się na jej niewinnej twarzyczce, sprawiła, że nikt za tę śmiałość dziecka nie skarcił.

Teraz Tereska przestała już być małem dzieckiem, skończyła właśnie dziesięć lat. Całą żarliwością swej duszy przygotowywała się na upragnione odwiedziny Jezusa. Wiele kwiatów cnoty

rozkwitło w jej sercu! Gdy wreszcie nadszedł ów wielki dzień, wydało jej się, że niebo zstąpiło na ziemię.

Wiele lat później, gdy już była zakonnicą, spisała Teresa na rozkaz przełożonej te wydarzenia ze swego życia. A o dniu tym nie śmiała jeszcze i wtedy mówić. „Są kwiaty — pisze — których



woń uleciałaby, gdyby je owiało zimne powietrze!" Więc nie chce zdradzać tajemnic miłości, jakie w tym dniu wymieniła z Jezusem. „Nie było już Teresy, stała się niby kropla wody, zatopiona w nieskończonym oceanie: w Jezusie!" — tyle tylko pisze.

W każdym razie radość jej była tak wielka, że nie mogła jej w sercu pomieścić. Jasne łzy szczęścia spłynęły po twarzy. Widziały to inne dzieci, ale sądziły, że Tereska płacze dlatego, że

przy uroczystości tej nie było ani matki, ani Pauliny.

Myliły się najzupełniej. Tereska doznawała tego dnia tylko bezgranicznej szczęśliwości!

Czas mijał, Teresa podrastała. Miłość do Boskiego Zbawiciela, a szczególnie do Dzieciątka Jezus płonęła w niej coraz jaśniej i silniej. Często, gdy nikt nie zwracał na to uwagi, wymykała się do sypialni i kryła w kąciku za firanką, osłaniającą jej łóżko. Siedziała tam cichutko i wciąż myślała o Zbawicielu i o tem, jak Go chce kochać.

Równocześnie zwalczała niezmordowanie swoje wady. Wrodzoną niecierpliwość całkiem już poskromiła, ale trwożliwość i skłonność do obrażania się sprawiały jej jeszcze wciąż wiele kłopotu. Takby chciała je przezwyciężyć. A tu niedobre łzy zaraz napływają do oczu. Zapewne jej delikatne zdrowie było temu winne. Siostra jej, Marynia, była w tych usiłowaniach najlepszą pomocą, jej dobrym aniołem.

Ale tylko tak długo, dopóki i w jej sercu cicho lecz nieodparcie nie począł wołać głos Boga. Wtedy i ona porzuciła wszystkie sprawy i wstąpiła do karmelitanek. Pobożny ojciec i tę córkę ofiarował ochotnie.

Tereska nie opłakiwała jej tak namiętnie jak Pauliny, chociaż jej serce krwawiło. Mężnie darowała Zbawicielowi tę kochaną opiekunkę. A Bóg, który każdą ofiarę błogosławi, ulitował się za to nad swym małym kwiatkiem. Dość już

było kropel deszczu, teraz miało mu znów zaświecić słońce.

W noc Bożego Narodzenia, gdy Teresa skończyła czternaście lat, Boskie Dzieciątko odjęło od niej wszelką słabość, wszelką bojaźń wewnętrzną, z któremi tak długo i wiernie walczyła.

Celina i ojciec oniemieli ze zdumienia: znikła gdzieś przewrażliwiona Tereska, a wróciła wesoła dzieweczka, która do śmierci matki była słonkiem całego domu. Jakże się cieszył stary ojciec swoją „królewną".

Teresa żyła odtąd tylko dla Jezusa. Chciała teraz przez modlitwy i ofiary zyskiwać Mu dusze. Raz dowiedziała się, że pewien złoczyńca, Pranzini, został skazany na śmierć. Kapelan więzienny nadaremnie starał się go nawrócić. Ze wzgardą i szyderstwem odpychał od siebie zbrodniarz każdą wzmiankę o pokucie i żalu. Teresa postanowiła zdobyć go dla Boga.

Modliła się za niego w szczególniejszy sposób, z nieustępliwą wytrwałością ofiarowując Ojcu Niebieskiemu pięć Ran Najświętszych. Modlitwa jej została cudownie wysłuchana. Pranziniego prowadzono już na stracenie. Szedł, drwiąc i miotając przekleństwa. Nagle, w ostatniej chwili — ogarnęła go moc Boska. Przystanął, wyrwał towarzyszącemu kapłanowi krzyż z ręki i z najgłębszem przejęciem ucałował Najświętsze Rany. Umarł nawrócony. Gorące modły małej dzieweczki uratowały jego duszę.

Teresa miała już teraz piętnaście lat. Zdawaćby się mogło, że Chrystus sam nie chciał dłużej zwlekać i zapragnął mieć drogi kwiatuszek w swym umiłowanym ogrodzie. Teresa słyszała w głębi duszy, że Bóg ją woła. Teraz wreszcie miała Mu być zaślubiona, podobnie jak i jej siostry.

Było to czemś wręcz niesłychanem — przyjęcie tak młodego stworzenia do klasztoru o wyjątkowo surowej regule, jakim jest zakon karmelitanek. Nikt nie chciał słyszeć o tem. Tylko świątobliwy ojciec Tereski wierzył w szczerość jej powołania i pomógł swej „królewnie".

Do przełożonych klasztoru, do biskupa, do samego papieża Leona XIII udawała się Teresa i błagała o pozwolenie wstąpienia do klasztoru. Aż wreszcie wszyscy w sercu swem pojęli, że Bóg sam tego dziwu się domaga. Na Boże Narodzenie mały kwiatek został przyjęty do Karmelu; zwała się odtąd „Teresą od Dzieciątka Jezus".

Dziewięć lat żyła Teresa w klasztorze. Dzieje jej duszy w tym czasie były przedziwne. Jezus prowadził swoją małą oblubienicę cichemi drogami na wyżyny świętości.

Posłuszna przełożonej, wszystko to sama opisała, nie przeczuwając, że prócz jej matki duchowej inne jeszcze oczy będą oglądały jej boskie tajemnice. Jak podrośniecie, kochani czytelnicy, musicie tę cudną, kochaną książkę przeczytać. Można wtedy tylko ręce złożyć i powiedzieć: „Panie Boże, jakże dobrym jesteś dla nas, ludzi!"

Teresa kochała Jezusa bez wszelkiej bojaźni, jak się kocha dobrego ojca. Jeszcze dzieckiem będąc, gdy mówiono raz w domu o tem, jaki kto zawód obierze, postanowiła sobie: „Będę świętą!" I jak mała Tereska cieszyła się tą czekającą ją świętością, taksamo Teresa-karmelitanka, gdy nadeszła godzina śmierci, radowała się myślą o czekających ją rozkoszach w niebie. Z błogą pewnością wyrzekła te najmilsze słowa:



— Z nieba będę sypać róże na ziemię.

W kilka miesięcy później dusza jej uleciała do Boskiego Zbawiciela.

— Boże mój, kocham Cię! — to były jej ostatnie słowa.

Teresa dotrzymała przyrzeczenia. Zaledwie weszła do ogrodu Bożego, który był jej ojczyzną,

a już zaczęła działać cuda rozliczne; deszcz róż niebiańskich padał na ziemię.

Niema dzisiaj kraju katolickiego na świecie, w którymby „mały kwiatuszek" nie był otoczony miłością i czcią szczególną. Wszyscy oddają swe prośby pod jej opiekę: kapłani, młodzież, klasztory, a szczególnie jej zakon, misje, za które się tyle modliła od czasu nawrócenia Pranziniego.

Tysiącznym rzeszom przyświeca cudny mały kwiatek na drodze do nieba, na tej prostej, radosnej, powszedniej, a tak przecudnej drodze miłości.

Święty Antoni, mąż cudami słynący

Trzask — prask, dwa policzki spadły na twarz Piotrusia. Wymierzone były dobrze, udzielone z rozmachem. Paliły jak ogień. Piotruś rozwarł usta do bolesnego krzyku. Ale powstrzymał go widok ręki męskiej, wzniesionej błyskawicznie i obiecującej dalsze razy. Wargi chłopca zawarły się głośno z widocznym przestrachem. Tylko stłumiony szloch świadczył o oburzeniu.

— Pamiętaj, łobuzie jeden, na drugi raz coś więcej oberwiesz, jak mi będziesz uciekał od roboty za tym mnichem-włóczęgą, a mojego biednego muła zostawisz bez paszy!

Tak wygrażał Bonvilio, człowiek ponury. Wyszedł ze stajni. Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. Piotruś, mały poganiacz muła, zakopał się w słomę i wył głośno z bólu i gniewu.

Był znajdą, nie miał rodziców. Pewna biedna wieśniaczka przygarnęła go do siebie; chował się wraz z jej ośmiu urwisami i był zadowolony i szczęśliwy.

Miał osiem lat, gdy do wioski owej przybył bogaty kupiec. Zwał się Bonvilio. Przybył, aby

dobrać sobie służbę, między innymi także i poganiacza muła.

Wieśniaczka nie chciała dać Piotrusia na taką służbę, tem bardziej że ów obcy nie był katolikiem, lecz wrogim Kościołowi innowiercą. „Albigensi" — tak zwano sektę, do której należał. Była ona tu w południowej Francji bardzo rozpowszechniona.

Ale mąż tej wieśniaczki nie zwracał uwagi na takie względy. Już mu i tak było ciężko wyżywić swoich osiem latorośli. Zawsze żałował temu znajdzie chleba. Teraz, gdy się nadarzyła tak dobra sposobność, by pozbyć się chłopca, nie dał się zmiękczyć.

Mimo płaczów i narzekań musiał Piotruś opuścić ukochaną wioskę rodzinną i udać się za ponurym kupcem. Od tego dnia żył w stajni Bonvilia i miał staranie o jego muła.

Praca nie była ciężka, i Piotruś bardzo się zaprzyjaźnił z mułem. Żył sobie wesoło. Bał się tylko straszliwie srogiego pana, który wciąż osobiście dozorował służbę.

A mimo to nie zaprzestał płatania figlów. I taki był przytem ciekawy!

Dlatego pobiegł wczoraj wieczorem do Tuluzy, aby usłyszeć obcego przedziwnego mnicha, Antoniego. Wszyscy ludzie o nim mówili. Tysiące a tysiące zbiegły się, aby słuchać, gdy kazał na placu przed ratuszem. Jakże Piotruś miał nie pójść?

Ale szczęście mu jakoś nie sprzyjało. Przedewszystkiem nie mógł się docisnąć, żeby choć słowo

dosłyszał. Potem — mały był, a ludzie wysocy. Nic nie mógł ponad nich dojrzeć. Byłby chętnie wrócił na czas do domu choćby dlatego, żeby nakarmić muła. Ale dostał się w tak beznadziejnie gęsty tłum, że musiał przeczekać, aż się ciżba trochę rozluźni. Tymczasem zamknięto bramy miasta, nie mógł wyjść z Tuluzy. Dopiero o szóstej rano przemknął się drżący do domu. Może nie zauważono jego nieobecności? Oczywiście, Bonvilio go przychwycił; musiał się do wszystkiego przyznać, a wtedy... brr!

— A ja przecież dzisiaj wieczór znowu tam pójdę — gniewnie zamruczał przez zęby mały człowieczek. — Dzisiaj ten przedziwny człowiek będzie kazał poza murami miasta, gdzie mnie żadna brama nie zatrzyma. Są tam drzewa. Wylezę na jedno z nich i wszystko usłyszę! A ciebie wpierw dobrze nakarmię, już ja wiem! — zwrócił się do swego czworonogiego przyjaciela, przytulając ciemną, zapłakaną twarz do szarego policzka muła.

— I-a! — przytaknęło poczciwe zwierzę zgodliwie.

Gdy nadszedł wieczór, Piotruś wykonał swój zamiar. Muł był nakarmiony, drzwi od środka zaryglowane. Któż mógł powątpiewać, że oślarek nie śpi wewnątrz? Nikt prócz Piotra, chytrego łobuza, nie wiedział, że jedna deska w tylnej ścianie dawała się odsuwać, a otwór ten był dość duży, aby się tamtędy przecisnąć. Miał więc powrót do domu zapewniony.

Teraz siedział na gałęzi, wpobliżu wzniesionej naprędce kazalnicy, i cieszył się jak król. Dopiął swego celu: tu usłyszy każde słowo i nikt nie może mu nic zrobić. A on, z triumfem w sercu, będzie mógł wyśmiać się ze swego srogiego pana. Pysznie!

Przyszedł święty Antoni i wstąpił na kazalnicę. Był to młody franciszkanin, szczupły i bardzo blady. A miał przedziwnie jaśniejące, miłujące oczy.

Piotruś patrzył na niego jak urzeczony. Dziwnie mu się zrobiło na duszy. Serce zaczęło mu bić gwałtownie w piersi.

Zaczęło się kazanie. I jakie kazanie! Nigdy w życiu czegoś podobnego nie słyszał!

Gdy kto inny mówił o Bogu, o świętych rzeczach — stary kochany proboszcz, ksiądz Monroie[1]) w jego wsi — to owszem, myślało się wtedy o Bogu i o świętych rzeczach, jeśli jakieś roztargnienie nie przeszkodziło. Ale tu, gdy mówił ten brat Antoni, to było zupełnie coś innego! Zupełnie tak, jakby sam Pan Bóg i Jego Matka Najświętsza zeszli między ludzi i rozmawiali z nimi, i słuchacz każdy, nawet Piotruś mógł ich widzieć i słyszeć!

Mały chłopak drżąc złożył ręce. Niczego nie pragnął, tylko rzucić się na kolana. Taksamo i wszyscy obecni. Czuli, że święty, wielki święty stoi wśród nich.

[1]) Czytaj: Mąrua.

Toteż nikt nie zwracał uwagi na pogodę, chociaż było bardzo gorąco i duszno, a brudnożółte chmury zaczęły się groźnie kłębić w czasie kazania. Aż grzmot zahuczał ogłuszający i w tej samej chwili rozpętała się straszliwa nawałnica. Ludzie przerażeni ocknęli się ze świętego zapamiętania. Wielka ta gromada zbiegła się ze wszech



stron, zbliska i zdaleka. Czy nie powinni raczej pomyśleć o ucieczce, zanim ich burza złapie na dobre? Popłoch zaczął ogarniać tłumy.

Święty Antoni przerwał kazanie.

— Zostańcie — zawołał — i bądźcie dobrej myśli! Ani jedna kropla na was nie spadnie!

Zdziwiony patrzył każdy na kazalnicę. Ani jedna kropla deszczu, przy takiej burzy? Są przecież na zupełnie odkrytem polu. Ale Antoni jest

najwyraźniej mężem bożym; nie można inaczej, trzeba mu wierzyć.

Wszyscy pozostali więc na miejscach i słuchali dalej kazania. Nikt nie zmókł. Stronami szalała dokoła straszna burza. Ulewa i grad tłukły ziemię. A na dużej przestrzeni, gdzie kazał mąż boży, nie padła ani jedna kropla!

— Cud! jaki wspaniały cud! — radowali się ludzie w sercach swoich. — O, jak wielka jest miłość i łaska Najwyższego!

Nie mógł tych słów pochwalnych słuchać szatan. Ten młody mnich, który z taką miłością prowadził niezliczone dusze do Boga, już i tak wzbudzał szaloną niechęć piekieł. Tego już było za wiele! Wróg zamierzał spłatać mu figla.

Minęła burza. Kazanie miało się ku końcowi. W sercach słuchaczy brzmiała radość jak dzwony wielkanocne.

Wtem jakiś posłaniec zaczął się przeciskać przez tłum pobożnych. Dotknął ramienia pewnej pani i wręczył jej list.

— Pilna wiadomość, *madame*[1])! — rzekł ze zbolałem wejrzeniem.

Pani, zatopiona jeszcze w modlitwie, spojrzała nań przestraszona.

Szybko rozerwała list i natychmiast wybuchnęła rozpaczliwemi jękami:

— O Boże na niebie! mój syn! mój ukochany jedynak... — płakała rzewnie.

[1]) Pani po francusku; czytaj: madam.

W liście tym wyczytała, że w czasie jej nieobecności synek, pozostawiony pod opieką starej piastunki, wydrapał się na skałę i spadł z niej. Zabił się na miejscu. O, oby była tu nie przychodziła, oby była synka nie opuszczała! Biedna kobieta była tak złamana, że nie mogła się powstrzymać i głośnem łkaniem i skargami wypowiadała swój ból. Wszyscy przejęci i wzruszeni patrzyli na nią. Spojrzenia pełne wyrzutu skierowały się na kaznodzieję, jakgdyby jego to rzeczą było zapobiec nieszczęściu. Posłaniec tragicznej wieści wzdychał, pełen prawdziwego współczucia.

Święty Antoni znów przerwał kazanie. Popatrzył miłosiernie na ciężko doświadczoną kobietę. Gorąca modlitwa popłynęła mu z serca do Boga, Ojca najmiłościwszego.

Wtem wyprostował się. Jakieś światło zajaśniało mu w twarzy. Groźnie zmarszczyły się brwi i spojrzenie płomienne padło na pokornego posłańca.

— Precz stąd, nieczysty! — rozkazał grzmiącym głosem.

Wszyscy słuchacze poderwali się w przestrachu. Spojrzeli zdziwieni na młodego mnicha o płonących źrenicach. Ten zaś zwrócił się troskliwie do biednej matki, która, oniemiała z przerażenia, patrzyła nań również.

— Uspokójcie się, pani miła — rzekł do niej zakonnik życzliwie. — Pozostańcie tu bez żadnej obawy i troski. Synek wasz żyje i jest zdrów, śpi

spokojnie pod opieką Anioła-Stróża. Wszystko to było tylko złudą piekielną! A ty — zwrócił się do fałszywego posłańca — precz stąd, duchu kłamstwa!

Ten wydał krzyk przeraźliwy i umknął. Zapach siarki i dym rozszedł się z miejsca, na którem stał.

Tłum zadrżał i zakołysał się. Ludzie płakali ze wzruszenia. Święty Antoni mówił dalej — radosny, przypomniał wszystkim, że jedynie tylko grzech oddaje nas we władzę szatana.

— Kto chodzi w blasku cnoty i łaski, temu djabeł nie może tańczyć na głowie — zawołał wesoło.

Kazanie się skończyło, ludzie zaczęli się rozchodzić do domów. Człapali po parującej, wilgotnej ziemi. Milczeli wszyscy, bo każdy miał zbyt wiele sam do przemyślenia.

Tylko Piotruś siedział wciąż nieruchomo na gałęzi. Potężne kazanie i dwa cudy wstrząsnęły jego sercem do głębi. Nurtowały go nowe myśli, nowe uczucia. Jego, który miał dotąd w głowie tylko zabawy i figle. Który przyszedł tu tylko z ciekawości. Sumienie go dręczyło. Czy już sama jego tutaj obecność nie była grzechem? Zgnębiony zlazł z drzewa. Stał niepewny na pustym placu.

Nagle drgnął przestraszony. Dwóch ludzi zbliżało się do kazalnicy, koło której stał, dwóch franciszkanów w długich habitach. Jeden z nich wszedł na kazalnicę i wziął leżącą tam książkę.

— Słusznie mówiliście, bracie Antoni — zawołał — książka leży tu istotnie! — i zaczął schodzić wdół po stopniach kazalnicy.

— Dziękuję, bracie, dziękuję — odpowiedział drugi, który pozostał w cieniu.

Piotruś zadrżał, bo ten drugi mnich to był właśnie wielki Święty. Zanim się chłopiec spostrzegł, już stał u boku świętego Antoniego. Przyprowadziło go tu zaufanie do męża bożego, a także jego niespokojne sumienie.

— Ojcze Antoni — powiedział szybko — co trzeba zrobić, jak się coś złego popełniło?

Kapłan pochylił się nad nim z miłością i pogładził go zlekka po czuprynie. Ale się nie śmiał.

— Trzeba żałować, wyznać i nie czynić tego więcej — odpowiedział łagodnie.

Piotruś westchnął.

— Ach, wyznać! — zabiadał.

— Tak, trzeba koniecznie, przyjacielu mój, — powtórzył Święty poważnie — jeżeli chcemy powrócić do Boga. Ja wiem, jak to nieraz ciężko, ale tak musi być. A Pan Bóg w nagrodę jeszcze bardziej nas potem kocha. Masz tu krzyżyk i bądź odważny!

I Antoni nakreślił powoli krzyż na czole chłopca.

— Dobrze — odparł mały. Ujął rękę zakonnika i ucałował.

Potem odwrócił się i szybkim krokiem pośpieszył do domu. Święty Antoni patrzył za nim wzrokiem pełnym miłości.

Piotruś nie wszedł do stajni tego wieczora przez odsuniętą deskę. Powziął mocne postanowienie.

— Bądź odważny — szeptał do siebie — Pan Bóg będzie ciebie jeszcze bardziej kochać!

Nie chciał tego odłożyć do następnego dnia.

Poszedł prosto do domu, w którym mieszkał pan Bonvilio, i poprosił służącego, aby go zaprowadził do pana. Ten początkowo wzbraniał się, ale potem ustąpił.

Pan Bonvilio siedział w swej pracowni i pisał. Podniósł zdumiony wzrok, gdy o tej godzinie zobaczył swego oślarka. Spojrzenie jego było chmurne i odpychające, tak że biednemu Piotrusiowi zaczęło szumieć w głowie. Ale podszedł odważnie.

— Byłem znów pokryjomu na kazaniu brata Antoniego, panie — powiedział szybko. — Przebaczcie mi, proszę, już nigdy tego nie zrobię!

Kupiec obrócił się zdumiony w krześle i popatrzył na chłopca badawczo. Na parę chwil wpiły się jego oczy w czarne źrenice malca.

— Ty nicponiu! — powiedział potem z naciskiem. Ale oczekiwany grad razów nie spadł na chłopca. Bonvilio nie był ani zły, ani głupi. Zainteresowało go to, że kazanie Antoniego wywołało taki skutek w tym łobuzie.

Muszę sobie tego człowieka obejrzeć — pomyślał.

— Idź spać, Piotrze — powiedział głośno — a na przyszły raz, gdy ten człowiek będzie kazał, możesz pójść słuchać. Dobranoc!

Oszołomiony, oniemiały ze zdumienia chłopiec wyszedł, potykając się po schodach.

* * *

Bonvilio rozmawiał ze świętym Antonim. Nie jeden raz, lecz wiele razy. Chodził na kazania wielkiego męża. Wszystko to bardzo go zaciekawiało. Ale nie wierzył jeszcze tej nauce.

Nie był katolikiem, lecz albigensem. To i tamto wydawało mu się teraz w katolickiej wierze jasne, gdy mu święty Antoni wytłumaczył. Zrozumiał niejeden błąd swojej religji. Ale nie mógł i nie mógł uwierzyć w Przenajświętszy Sakrament.

— To jest niepojęte, to jest zupełnie niemożliwe. Bóg nie może się tak poniżyć. A gdyby nawet miłość Najwyższego była nieskończona, to ta tajemnica przekracza granice miłości Bożej. Nie mogę w to uwierzyć!

Tak powiedział kaznodziei. Północ już minęła. Przez wiele godzin usiłował święty Antoni objaśnić mu tajemnice Sakramentu miłości. Wszystkie próby zawiodły. Wstał znużony. Nie umiał już nic więcej powiedzieć temu zbłąkanemu. Zapewne,

że cud Eucharystji jest dla człowieka niepojęty, ale Miłość Przedwieczna sama go obmyśliła. Do niej zwrócił się kapłan i błagał o cud łaski dla tej biednej duszy.

Bonvilio wstał również. Uśmiechnął się smutno.

— Dziękuję wam, ojcze, trudzicie się daremnie — rzekł. — Taką tajemnicę trzebaby mi chyba w cudowny sposób udowodnić. Żadna logika ludzka nie jest w stanie tego dokonać. Jeżeli nierozumny stwór, mój muł naprzykład, nie uklęknie przed hostją, w którą tak wierzycie, nic mnie nie przekona. Ale chyba nie będziemy uciekać się do tego. Dzięki wam stokrotne tymczasem, dobry bracie Antonio!

I odwrócił się, aby odejść.

Święty nic nie odpowiedział. Utkwił wzrok w krzyżu. Modlił się, jak tylko może modlić się człowiek, który Boga szczerze miłuje.

Wtem zajaśniało mu oblicze, jak wtedy, gdy rozpoznał posłańca z piekieł.

— Poczekajcie! — krzyknął rozkazująco do oddalającego się śpiesznie kupca.

Ten odwrócił się zdziwiony.

— Żądaliście świadectwa Boga — obwieścił mnich.

Bonvilio spojrzał zaskoczony na tego człowieka, który dotąd przemawiał do niego tak skromnie i pokornie, a oto stanął przed nim jak groźny sędzia.

— Bóg wszechmiłosierny słyszał wasze niecne wyzwanie i przyjął je. Przyjął dla dobra waszego i dobra drugich. Przez trzy dni nie macie wcale karmić waszego muła. A w niedzielę przybądźcie z nim pod drzwi katedry w czasie sumy. Wyjdę do was z Chlebem Niebiańskim, a wtedy nierozumny stwór odda w pokorze sprawiedliwą cześć Temu, czego ty, człowieku zaślepiony, nie chcesz uznać.

Bonvilio wyszedł; zbyt był wzruszony, by mógł słowo wykrztusić. Święty Antoni udał się śpiesznie do kościoła i noc całą spędził na klęczkach przed tabernakulum.

— O Jezu, Panie mój i Boże, jakże Cię miłuję! — wołał z radością co godzina.

* * *

Nadeszła niedziela. Wybiła godzina nabożeństwa. Wierni śpieszyli ze wszystkich stron do katedry. Chociaż dom boży był taki ogromny, zachodziła obawa, że nie pomieści dzisiaj wszystkich pobożnych. Tak nieprzerwanie płynęły tłumy. Bo święty Antoni miał w czasie sumy wygłosić kazanie. A także miał dzisiaj dać znak, miał dokonać cudu — tak przynajmniej szeptano wokoło. Niewiadomo właściwie, kto szerzył tę wieść. Ale wszystkich przepełniało tajemne oczekiwanie.

Przybył sam biskup z kanonikami, aby usłyszeć obcego kaznodzieję. Fiolety połyskiwały

wspaniale. W krzyżu biskupim takie igrały i lśniły światła, jakby w nim był uwięziony pęk promieni słonecznych. Przybyli prześwietni radni miejscy w strojach futrem przybranych, z szerokiemi, ciężkiemi pasami złotemi. Szlachetne damy i bogate mieszczki wyglądały jak barwna grzęda tulipanów.

Ale najwięcej było prostego narodu: rzemieślników, chłopów. I dzieci, oczywiście! Gdzie się które mogło wcisnąć, tam wpychały się, wsuwały, wślizgiwały pomiędzy tych wszystkich dostojnych ludzi. Stare, wspaniałe dzwony grały radośnie, pochwalnie.

Przed drzwi kościelne przyszedł Bonvilio. Srogi ten mąż był blady. Groźniej niż zwykle ściągnął gęste brwi. Dawno już pożałował swych nieopatrznych słów, które brat Antoni tak skwapliwie pochwycił. W głębi duszy wzdrygał się ten dumny człowiek na myśl o tem, że ma się stać widowiskiem tłumu. Wiedział z wszelką pewnością, że nic z tej dziwnej próby nie będzie. Cóż ma głupi muł do sprzeczki teologicznej? A i dla Antoniego wyniknie stąd wstyd, kupiec zaś, chociaż go cała ta sprawa gniewała, nie chciał być świadkiem publicznego upokorzenia mnicha. Podobała mu się jego ogromna, pokorna dobroć. Bonvilio byłby teraz najchętniej zawrócił.

Ale na takie rozstrzygnięcie nie mógł się zdobyć. Wbrew własnej woli musiał być posłuszny słowu kaznodziei. On kazał mu tu przyjść o tej

godzinie. Oto był wraz ze swem wygłodzonem zwierzęciem.

Piotruś prowadził je za uzdę. Biedny muł był w jaknajgorszem usposobieniu. Od trzech dni nie dostał ani ziarenka. Nanic się zdały ryki, wierzgania, szarpanie postronka! Chłopak bezlitośnie pilnował, aby biedne zwierzę pościło. Pewno, że nieraz się chłopcu przytem łzy kręciły, nie mógł znieść widoku swego cierpiącego przyjaciela. Ale nakaz Bonvilia był surowy, Piotruś musiał słuchać!

A teraz prowadził muła przez miasto, pieszczotliwie doń przemawiając, klepiąc go i gładząc po szyi. Ale kłapouch był nieczuły na dobre słowa. Ciężko było zawlec go aż na plac katedralny.

Oto wreszcie stanęli. Właśnie zagrały hucznie organy. Nadeszła chwila. Gromada gapiów zebrała się dokoła muła. Wielu wołało, aby usunąć ryczące zwierzę spod kościoła. Bonvilio nie raczył się odezwać ani słowem.

W katedrze ukazał się Antoni. Opuścił zakrystję w asyście jednego z braci. Przybrany był w ornat. Nie skierował się jednak ku zdumieniu wszystkich do wielkiego ołtarza. Trzymając Przenajświętszy Sakrament w rękach, przeszedł prezbiterjum i całą nawę wdół aż do drzwi. Tam, na stopniach, przystanął.

Towarzyszący mu mnich niósł misę pełną owsa. Skierował się z nią w stronę, gdzie stał muł. Ten

chciwie wyciągnął cienką szyję. Ba, zniecierpliwiony wyrwał się swemu małemu poganiaczowi i wyciągniętym krokiem podbiegł do mnicha, trzymającego paszę. Bonvilio wstrzymał oddech.

Wtedy brat Antoni wzniósł monstrancję, w której spoczywał Bóg utajony.

— O ty, bezrozumne stworzenie boskie, oddaj cześć Panu swemu, daj przykład braciom swym, obdarzonym rozumem — zawołał głośno.

Natychmiast zwierzę zatrzymało się w biegu. Spojrzało na hostję. Ciało jego przebiegł dreszcz. I oto muł ugiął przednie nogi i padł na kolana, dotknąwszy głową ziemi. I tak znieruchomiał.

Wśród tłumu zabrzmiały okrzyki i błogosławieństwa. Wysunął się drżący Bonvilio. Padł na klęczki przed Chlebem Żywota i zawołał głośno:

— Panie, wierzę! Wspomóż niedowiarstwo moje!

A święty Antoni nakreślił zwolna monstrancją znak krzyża świętego nad jego pochyloną głową.

* * *

Bonvilio stał się gorliwym katolikiem, zniknęła gdzieś jego surowość. Piotr długo jeszcze był u niego oślarzem. Ale nie mógł zapomnieć postaci świętego kaznodziei, chociaż go już nigdy więcej nie zobaczył. Gdy skończył osiemnaście lat, sam zapukał do furty pewnego klasztoru franciszkańskiego i prosił, aby go przyjęto jako braciszka.

I jako taki przeżył tu życie ciche, spokojne i bardzo szczęśliwe. Jego przybrana matka, stara wieśniaczka, często go odwiedzała. Był największą pociechą, spośród wszystkich jej dzieci.

Święty Antoni zaś wędrował dalej od miasta do miasta. Przez Francję i przez całe Włochy. Tak potężne były jego kazania, tyle dokonywało



się przez nie nawróceń, że nazywano go „młotem niewiernych". Działał cuda niezliczone. Napisano wiele dużych i grubych ksiąg o jego życiu i o tych wzruszających i niezwykłych rzeczach, jakie czynił.

Tak nieprzeliczone były jego cuda, tak wiele ludzi uciekało się do niego o pomoc dniem i nocą, że spokój jego klasztoru był na szwank narażony.

Pobożne podanie głosi, że przełożony zakazał mu czynić cuda, zanim nie zapyta wpierw o pozwolenie. W kilka dni później szedł święty Antoni przez miasto. Przechodził koło domu, na którym robotnicy naprawiali dach. Wtem jeden z nich poślizgnął się i spadł ze znacznej wysokości. Święty Antoni chciał go ratować, ale przypomniał sobie zakaz swego przełożonego. Był, jak wszyscy święci, mężem ślepo posłusznym.

Dlatego zawołał:

— Przyjacielu, zaczekaj, nie spadaj, muszę poprosić o pozwolenie, żeby cię ratować!

Śpiesznie udał się do przełożonego i poprosił o pozwolenie. Teraz mógł dokończyć cudu. Pomógł biedakowi wydostać się z powrotem na dach. Ale wpierw robotnik musiał na niego poczekać, wisząc w powietrzu.

To wydarzenie, które ukazuje nam dziecięce posłuszeństwo i prostotę wielkiego nauczyciela narodów, upamiętniono we wspaniałej rzeźbie, w marmurze wykutej nad jego grobem w Padwie.

W żadnem mieście nie przebywał tak wiele i tak chętnie jak w Padwie, i w żadnem nie był tak czczony. Dokonał tu cudów bezliku, nawrócił grzeszników coniemiara, ułagodził tyranów, powstrzymał wojny. I to wszystko w tak krótkim czasie! Tylko sześć lat kazał święty Antoni, od dwudziestego szóstego do trzydziestego drugiego

roku życia, potem Bóg powołał go do swojej chwały.

Do dwudziestego szóstego roku życia był zupełnie nieznany. Był skromnym, pobożnym mnichem, na którego nikt nie zwracał uwagi. Ba, spowodu jego wielkiej pokory uważano go za głupawego. Ale w sercu jego wciąż rosła miłość do Boskiego Zbawiciela. Ona to wyrwała chłopca z pięknego, bogatego domu w Portugalji i popchnęła do najuboższego klasztoru. Prowadziła go jako męża z jednej cnoty w drugą. I gdy tak w cichości stał się doskonale świętym, nakazał mu Zbawiciel, opowiadać Swoje imię przed ludźmi. A stało się to tak:

Pewien franciszkanin miał wygłosić wobec biskupa kazanie z okazji pewnej uroczystości. Kaznodzieja ów zachorował w ostatniej chwili. Nie było nikogo, ktoby go zastąpił, prócz młodego, nieznanego Antoniego. Poruczono mu to z pewnem wahaniem. Ale po tem jednem kazaniu wiedział przełożony, wiedział cały dwór biskupi, że mają przed sobą jednego z największych kaznodziejów i mężów bożych wszystkich czasów. Od tego dnia życie pokornego mnicha stało się jedną ciągłą pracą misyjną. Aż go po sześciu latach Ojciec niebieski powołał z Padwy do siebie.

Miłość Świętego do Boskiego Zbawiciela, a zwłaszcza do słodkiego Dzieciątka Jezus, była tak wielka, iż wydaje się, jakgdyby Ono nie mogło

się doczekać godziny śmierci swego wiernego sługi. Boskie Dzieciątko przybyło doń, jak wiemy, już wcześniej.

Było to w ukochanej Padwie. Święty Antoni mieszkał wtedy u hrabiego Tiso[1], ponieważ w mieście tem nie było jeszcze żadnego klasztoru. Tiso, którego nawróciły kazania Świętego, rad był z całego serca, że może gościć męża bożego pod swoim dachem.

Północ już minęła, wszystko spoczywało we śnie. Tylko Tiso jeszcze nie spał. Czuł się dziwnie uradowany. Więc obchodził cały dom, pogrążony w głębokich ciemnościach. Wszedł do długiego, mrocznego korytarza, przy końcu którego znajdował się pokój czcigodnego gościa. Przystanął zdumiony. Skąd się wzięło to światło, które nagle rozbłysło? Zdziwiony postąpił hrabia Tiso w głąb korytarza. Aż dostrzegł, że ta jasność promienieje spod drzwi brata Antoniego. Wydało mu się to dziwnem; takich silnych lamp nie było w całym domu! Pan domu zerknął ciekawie przez dziurkę od klucza i ujrzał...!

Któżby nie pragnął móc spojrzeć tam razem z nim! Oto ujrzał Dzieciątko Jezus w ramionach świętego Antoniego! Czule obejmowało rączką szyję kapłana. Przytuliło się z ufnością do jego piersi i szeptało mu słowa niebiańskie do ucha. A brat Antoni promieniał jak błogosławieni Pańscy w niebie.

---

[1]) Czytaj: Tizo.

Naraz odwróciło się Dzieciątko Boże. Wskazało na drzwi, za któremi stał podglądacz, i z uśmiechem położyło palec na ustach. Wtedy hrabia Tiso padł na kolana, pomodlił się, a potem odszedł cichaczem. A światło dalej błyszczało spod drzwi jego gościa.

Nazajutrz musiał hrabia Tiso obiecać bratu Antoniemu, że będzie milczał o tej wizji, jak długo



Święty żyć będzie. Hrabia Tiso dotrzymał przyrzeczenia.

Święty Antoni już nie żyje. Już od siedmiuset przeszło lat kryje go wspaniały grobowiec z zielonego marmuru, który wznosi się w ogromnym kościele Franciszkanów w Padwie. Przez cały rok boży płoną przed nim srebrne lampy i świece niezliczone. Dzień w dzień przychodzą doń pielgrzymi ze wszystkich stron świata. Przykładają rękę

i głowę do płyty grobowej i szepcą swe prośby wielkiemu przyjacielowi Bożemu.

A święty mąż po dziś dzień wciąż cuda działa. Cuda nieprzeliczone! Wspomaga nasze małe prośby i znajduje nasze zgubione rzeczy. W cięższych troskach i zmartwieniach wspiera nas swem wstawiennictwem. A gdy chodzi o rzecz największą: o zbawienie biednej naszej duszy, wtedy pomaga najwięcej, najochotniej, ten kochany, dobry, święty Antoni.



Serdeczne dziecię Marji Bernadeta Soubirous



Klap, klap, klap! — załomotało w małej, wąskiej uliczce górskiego miasteczka Lourdes. Klap, klap — a także: chlup, chlup. Bo to było w lutym, w mokrym miesiącu lutym. Szerokie drewniaki pysznie człapały w kałużach i wybojach, aż woda daleko się rozpryskiwała. Klap, klap, chlup!

Trzy małe dziewczynki podążały tak głośno drogą przez miasteczko. Ale nietylko ogromne drewniaki sprawiały taki hałas. Trzy obrotne języczki kłapały jeszcze szybciej. Bo tak robią dzieci całego świata, a we Francji południowej, gdzie leży Lourdes, jest to szczególnie ulubionem zajęciem. Tak mi przynajmniej mówiono.

Dwie z tych małych szczebiotek to siostry: Bernadeta i Marja-Antosia Soubirous[1]). Trzecia dziewczynka była ich sąsiadką i nazywała się Janinka. Bernadeta doszła już wieku bardzo poważnego, miała lat aż czternaście! Marja-Antosia i Janinka musiały się narazie zadowolić jedenastu latami życia. Wszystkie trzy nie były ani wielkie ani tęgie, gdyż trudno było znaleźć biedniejsze dzie-

[1]) Czytaj: Subiru.

ci, jak szeroko i daleko. Ale były wesołe i poczciwe, zwłaszcza obie Soubirous, a to jest właściwie najważniejsze.

Byłoby błędem twierdzić, że ta trójlistna koniczynka wybrała się w ten dżdżysty dzień zimowy na przechadzkę. Raczej możnaby powiedzieć, że szła do pracy, ponieważ dziewczynki były gałganiarkami. Chróst na opał, kości, dające się spieniężyć, i szmatki, nieoględnie odrzucane przez bogatszych, bardziej lekkomyślnych mieszkańców południa: oto był ich łup upragniony. Poto wyszły, tego szukały dzisiaj, jak zazwyczaj.

Bernadetka była dzieckiem chorowitem. Ciężkie cierpienie, zwane astmą, groziło jej nieraz uduszeniem. Jej więc szczególnie dawała się we znaki nędza rodziców. Liczna rodzina mieszkała w prawdziwej norze, do której nigdy nie zajrzało słońce. Dwa łóżka, dwa krzesła, skrzynia i trochę glinianych naczyń — oto cały ich dobytek! Byli tak biedni, że dzieci obskubywały czasem wosk, skapujący ze świec w kościele, aby straszny głód zaspokoić.

Ale zawsze byli weseli i dobrej myśli. Przez cały dzień każde z nich zbierało i pracowało, jak tam umiało. A wieczorem siedzieli społem, gwarząc i śmiejąc się, ci pogodni południowcy.

Byli przytem pobożni. Każdego rana i wieczora modlili się wspólnie. Jedno wezwanie upodobali sobie szczególnie: „O Marjo bez zmazy poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy".

Bernadetka była dzieckiem bardzo łagodnem. Czasami zabierała ją do siebie jej matka chrzestna, bogata wieśniaczka, i kazała w górach, na stokach Pirenejów paść owce. Tam było dziewuszce prawdziwie dobrze i wesoło. Kochała bardzo wszystkie zwierzęta, a zwłaszcza te najmniejsze.

— Kocham ten drobiazg okropnie! — zapewniała raz swego ojca.

Lubiła bardzo odmawiać różaniec. Gdy przebywała samotnie cały dzień na hali, odmawiała



i śpiewała różaniec jeden za drugim. Stawała się wtedy prawdziwem dzieckiem Marji. Raz pewien obcy ksiądz, przechodząc tamtędy, zawołał zdumiony:

— Takie zapewne były dzieci, którym się ukazywała Najświętsza Marja Panna, jak piszą stare książki! Tak sobie wyobrażam prawdziwe dziecko Marji!

Nauka szła tej dzieweczce, oczywiście, jaknajgorzej. W szkole, do której ją posyłała chrzest-

na matka, przelewała łzy prawie bezustannie! Najprostsze nauki nie chciały wejść w tę czarną, kędzierzawą główkę. Ale nauczyciele nie mogli się na nią gniewać.

— Nigdy nie była krnąbrna, nigdy nie odpowiadała zuchwale, gdy dostawała naganę. Niepodobna było nie lubić tej biednej małej! — tak mówiono o niej.

Wreszcie jedno przynajmniej się powiodło: wyuczono ją najważniejszych prawd wiary z katechizmu. Nie chciała teraz Bernadeta pozostawać przy owcach w tej górskiej samotni, choć tak jej tam było dobrze. Chciała wrócić do Lourdes, do domu, do rodziców, aby przystąpić do pierwszej Komunji świętej. Trudno ją było zatrzymywać. Powróciła więc do wilgotnej nory, która była jej ojcowizną, powitana radosnym okrzykiem młodszego rodzeństwa.

* * *

Klap, klap, klap, słychać wciąż kroki małych wędrowniczek i zbieraczek drzewa. Pośpieszmy za niemi, zobaczyć dokąd idą. Minęły już Lourdes i podążają wzdłuż rzeki Gave.

Przechodzą właśnie koło wielkiej czarnej skały Massabielle[1]), w której znajduje się pieczara. Dziki głóg pnie się dokoła niewielkiej wnęki w jej sklepieniu, a żółte i fioletowe kwiaty uśmiechają

[1]) Czytaj: Masabiel.

się w lecie z każdej szpary w skale. Ale teraz wszystko jest martwe i szare.

Skałę tę opływa mała rzeczułka. Pieni się i pląsa jej zielona woda. Nasze trzy małe przyjaciółki zatrzymały się nad nią zasmucone. Muszą przejść na drugą stronę; do najbliższego mostu kawał drogi, a tu woda w lutym taka strasznie zimna! Jak ją przebrnąć?



Mała Janinka nie zwleka długo. Śmiałym ruchem przerzuca swoje drewniaki na drugi brzeg strumienia i raźno brnie przez wodę. Antosia też nie chce być gorsza od przyjaciółki. Ach, jaka ta woda lodowata! Ale człapie odważnie przez okrutną strugę. Małe stopy aż palą z zimna.

— Woda jest okropna — wołają poza siebie i kucnęły, pojękując, aby rozgrzać trochę nogi w fałdach długich sukienek.

Chorowita Bernadeta ociąga się trochę na tamtym brzegu.

Młodsza siostrzyczka ofiarowuje się wspaniałomyślnie:

— Przeniosę cię na drugi brzeg.

Ale starsza śmieje się z tego.

— Przewróciłybyśmy się obie we wodzie — odpowiada całkiem słusznie.

— Jak chcesz przejść, to chodź, a jak nie, to zostań tam, gdzie jesteś — woła szorstko Janinka.

Zrywa się, chwyta opierającą się przyjaciółkę mocno za rękę i biegnie z nią w stronę pobliskiego lasu.

Bernadeta westchnęła. Nie umie się gniewać na drugich. Schyla się więc potulnie, aby zdjąć buciki przed zimną kąpielą. Wtem słyszy gwałtowny szum wichru. Podnosi zdumiony wzrok, widzi gałęzie drzew nieruchome, skąd więc w powietrzu ten szum i łopot? Przerażone jej spojrzenie pada na skałę, na wnękę w pieczarze, dokoła której pną się głogowe gałązki.

Ostry strach przeszył serce dziewczynki. Przeraziła się tak, że nie może się ruszyć z miejsca, nie może się przeżegnać.

— A przecież — opowiadała potem — było to coś innego niż strach. Bo jak się kto boi, to pragnie uciec czemprędzej, a ja pragnęłam zostać i patrzeć, wciąż patrzeć.

Cóż więc zobaczyła Bernadeta w grocie masabielskiej? Ach, coś cudownie pięknego!

— W górnej grocie stała dzieweczka niewiele większa ode mnie, w białej sukni i białym welonie. Przepasana błękitną szarfą. W ręce trzymała różaniec, u stóp jej kwitły żółte róże. Jasne światło było dokoła niej. Pozdrowiła mnie skinieniem głowy i uśmiechnęła się do mnie z wielką miłością. Bałam się okropnie. Ale ona wdzięcznie na mnie skinęła, abym podeszła bliżej. Uczyniłam tak. Potem przyszło mi na myśl, żeby się pomodlić. Wzięłam więc różaniec do ręki, uklękłam i poczęłam go odmawiać. A dzieweczka mówiła różaniec wraz ze mną.

Tak opowiadała Bernadeta.

Działo się to 11 lutego 1858 r., owego cudownego, pełnego łaski dnia, gdy się ukazała po raz pierwszy Pani nasza w Lourdes[1]). Marja wybrała sobie małą pasterkę, dziewczynkę, która niczego nie mogła się nauczyć, ale była zawsze dobra i pobożna. Ona pierwsza miała usłyszeć wieść o łasce, przeznaczonej dla całego świata.

* * *

Upłynęły prawie dwie godziny od chwili, gdy się dzieci rozstały nad zimnym strumieniem. Nadeszły z lasu Janinka i Antosia z wiązkami drzewa na plecach. Zastały Bernadetę na klęczkach.

[1]) Czytaj: Lurd.

Zachwyconym wzrokiem wpatrywała się jeszcze w grotę, w której ujrzała tak cudowne zjawisko.

Janinka była bardzo zła. Zwymyślała leniwą towarzyszkę. Ale Antosia miała lepsze oczy. Zaraz zauważyła, że tu stało się coś niezwykłego. Bernadeta była jak we śnie, ale nie zdradziła swojej wspaniałej tajemnicy.

Mała siostrzyczka tak długo prosiła, tak długo nalegała, gdy zostały same, dopóki starsza ze wszystkiem jej się nie zwierzyła. Wieczorem dowiedzieli się o niezwykłem zdarzeniu również ojciec i matka.

Matka Ludwika przelękła się; nie wiedziała, co ma o tem sądzić. Zaś ojciec Franciszek rozgniewał się; twierdził, że mała opowiada bajkę zmyśloną. Zabronił jej chodzić przez parę dni do groty, a potulna dzieweczka słuchała go ślepo. Wreszcie pozwolił jej ojciec pójść, i zaledwie Bernadeta doszła do stóp skały, zaraz zjawiła się „pani w bieli" i odmówiła z dzieckiem różaniec.

Dziewczynka powracała wciąż do groty. Wkrótce postępowały za nią tłumy ludzi. Ścieżka poprzez wielką skałę była stroma i śliska, ale Bernadeta, zwykle taka trwożliwa, przebiegała ją „jak jaskółka", „jak błyskawica", „jak wiatr" według słów naocznych świadków.

Ledwie dziewczynka uklękła przed grotą, już ukazywała się postać niebiańska; i tak wciąż i wciąż. Ogółem ukazała się szesnaście razy. Nikt z otaczających nie mógł jej widzieć, ale ledwie pojawił

się gość z nieba, taki blask i światło biły z twarzy Bernadety, że mężczyźni nawet płakali, patrząc na tę rozkosz niebiańską. W chwilach takiego zachwycenia Bernadeta nie widziała i nie czuła, co się dokoła niej dzieje. Choćby rzesza tysiączna płakała i modliła się dookoła, choćby sobie palce



świecą poparzyła — jak się raz zdarzyło — ona nie wiedziała o niczem. Zdaje mi się, że nietrudno to zrozumieć: gdy jakaś dusza Marję ogląda, wtedy odwraca się tak od całego świata, że zdaje się dlań głuchnąć i ślepnąć.

— Ach, Ona jest tak piękna — opowiadała później — że kto Ją raz zobaczy, temu już nic na ziemi nie może się podobać.

Marja posłała dziewczynkę do proboszcza z poleceniem, aby wybudował kościół na skale i poprowadził do niego procesje. Ale Bernadeta jeszcze nie umiała powiedzieć, kim jest „pani w bieli". Gdy nieśmiało oznajmiła kapłanowi to zlecenie, rozkazał jej, aby zapytała zjawisko o imię.

Przy następnych odwiedzinach niebiańskich — a było to w dzień Zwiastowania — zapytała przeto z pewnem wahaniem, choć posłusznie:

— Pani, powiedz mi, proszę, kim jesteś.

Dziewica święta uśmiechnęła się zrazu. Trzy razy powtórzyła Bernadetka swą prośbę. Wtedy Marja skrzyżowała ręce na piersiach i wyrzekła łaskawe, cudowne słowa:

— Jestem Niepokalanem Poczęciem!

Wtedy radość małej pasterki nie miała granic. Bo teraz wiedziała, że „pani w bieli" to jej Matka Niebieska, którą przez całe życie tak żarliwie uwielbiała.

W kilka dni później rozkazała jej Marja, aby „napiła się wody ze źródła". W grocie nie było wówczas jeszcze ani śladu wody, ale gdy Bernadeta sięgnęła do ziemi w miejscu, które jej Niepokalana wskazała, wytrysnęła cudowna struga wody z Lourdes.

Wspaniałe te zjawiska trwały jeszcze parę tygodni. Potem Marja pożegnała się ze swem dzieckiem. Bernadeta już nie ujrzała więcej na ziemi swej Matki Niebieskiej.

Odtąd zaczynają się dzieje Lourdes, największego z katolickich miejsc, cudami słynących.

Aż po dzień dzisiejszy działa tam Pan Bóg cuda za cudami, a chwała i cześć Matki Boskiej z Lourdes rozbrzmiewa wszędzie, gdzie sięga nasz Kościół św. Dzisiaj nie jedna, lecz trzy świątynie Pańskie stoją na skale Massabielle, a stutysięczne rzesze pielgrzymów wielbią tu rokrocznie Marję — „Uzdrowienie Chorych".

* * *

Co działo się tymczasem z dziewczynką, która stała się pośredniczką tych łask? Zanim objawienie uczyniło ją świętą w oczach całego kraju, Bernadeta Soubirous była skromną, kochaną dziewczyną. Taką pozostała aż do śmierci. Ale ciężka była droga jej żywota. Ludzki podziw i ciekawość ani chwili, ani godziny nie pozostawiły jej w spokoju. A tak pragnęła żyć w ukryciu!

Raz zapytała pewną kobietę, która nie ustawała w podziwianiu jej:

— Do czego wam służy miotła?
— Zamiatam nią.
— A jak nią pozamiatacie?
— Stawiam ją z powrotem do kąta.

— No, widzicie, tak samo uczyniła ze mną Matka Boska. Najpierw mnie używała wedle potrzeby, a potem odstawiła mnie do kąta. Czuję się w nim szczęśliwa, pozwólcie mi tam pozostać.

Ale odwiedzający nie chcieli pozostawić tej „miotełki" w spokoju. Dlatego rodzina Soubirous wyniosła się niebawem z Lourdes. Ojciec znalazł pracę w pewnym samotnym młynie. Ale ciekawscy i tam za nimi podążyli.

Bernadeta musiała wkońcu opuścić dom rodzinny, swoje ukochane młodsze rodzeństwo. Schroniła się do klasztoru. Tu „mała Bernardetka" przeistoczyła się w „siostrę Marję-Bernadetę". Żyła jeszcze trzynaście lat, najpierw pielęgnując chorych, potem sprawując urząd zakrystjanki. Żyła cicho, w ukryciu, umykając z wesołym sprytem przed tymi, którzy ją i tu nawet chcieli jeszcze podziwiać.

Przez ten czas zmienił Pan Bóg pobożną pastereczkę w wielką Świętą. Były to cudne lata. Ale tylko aniołowie i przełożeni klasztoru mogli być świadkami cudów łaski, któremi Jezus obdarzał tę ulubienicę swej Matki.

Bernadeta znosiła w klasztorze niewypowiedziane cierpienia. Złośliwa choroba, która ją męczyła w dzieciństwie, rozwinęła się na dobre. Ale teraz dla Jezusa miłowała krzyż i ofiarę, jak dawniej kochała „wszystek drobiazg".

Aż wreszcie znów ujrzała Marję. Przyszła Ona do swego cierpiącego dziecka, gdy odmawiało właśnie te słowa: „Święta Marjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, za nami grzesznymi..." Tym razem było to widzenie bez końca, bez rozłąki.

Nie grzesznika, lecz przeczystą owieczkę z trzódki Chrystusowej poniosła tego dnia Niepokalanie Poczęta do rajskich ogrodów.



Żołnierz Chrystusowy święty Sebastjan

Kiedy czytamy dzieje starożytnych Rzymian, napotykamy w nich wielu nieustraszonych mężów i niewiast. Niejedno możnaby zganić w tym zaborczym narodzie, ale męstwo jego jasne było i promienne jak słońce, i zawsze wzbudzać będzie podziw ludzi późniejszych epok.

Chcę wam dzisiaj opowiedzieć o takim mężnym nawskroś Rzymianinie. Któż chętnie nie posłucha o bohaterach i ich czynach?

Mąż ten zwał się Sebastjan. Był oficerem straży przybocznej cesarza Dioklecjana i szczególnym ulubieńcem srogiego władcy, ponieważ odznaczał się równocześnie odwagą i skromnością.

Odwaga Sebastjana była jednak większa, aniżeli jego pan i władca przypuszczał. Młody wojak nietylko nie obawiał się żadnego wroga, ale nie drżał nawet przed swym cesarzem. Ten wielkoduszny młodzian poznał naukę pogardzanego syna cieśli z Galilei. Wnet pojął, że nie są to puste bajki, jak sądził doniedawna, lecz słowo Boga samego.

Gdy to poznał, stał się chrześcijaninem odrazu, bez wahania. Jasne dla niego było jak słońce, że

słowo Boskie musi być najwyższem przykazaniem. Sebastjan wiedział oczywiście, że straszny będzie gniew cesarza, gdy ten srogi prześladowca chrześcijan dowie się o jego nawróceniu. Ale to go nie odstraszało. Bohater z pola walki nie był tchórzem wobec własnego sumienia.

Teraz pełnił służbę podwójną. Wciąż jeszcze chętnie i wiernie służył cesarzowi, jak mu nakazywał obowiązek żołnierski. Ale jeszcze chętniej i wierniej służył swemu nowemu Panu, który był Królem królów.

Codzień o świcie, zanim poszedł do służby, ów świetny oficer, pogrążony w modlitwie, klęczał w katakumbach, w podziemnym schronie prześladowanych chrześcijan. Nędzarze i biedacy znali go i kochali. Szczególniejszą opieką darzył Sebastjan więźniów.

Cierpieli oni strasznie w ciemnych i wilgotnych więzieniach. Cesarski oficer, mający wszędzie wolny wstęp, zjawiał się z pomocą jak anioł z nieba. Troszczył się nietylko o ich ciała, lecz również o ich dusze.

Dwaj bracia, Marek i Marceljan, wtrąceni zostali do więzienia za wiarę chrześcijańską. Mieli umrzeć już za parę dni. Przychodzili ich rodzice, młoda żona jednego z nich z synkiem. Rzucali się do ich stóp z płaczem i gorącemi prośbami. Biedacy ci byli jeszcze poganami. Wydawało się im niepojętem szaleństwem, że ich najukochańsi mają ponieść niepotrzebnie śmierć przedwczesną. Przychodzili dzień w dzień, prosili, błagali.

Aż wreszcie osłabł opór obu braci. Z miłości do rodziny przyobiecali wyrzec się wiary.

Dowiedział się o tem Sebastjan. Przejął go ból na myśl o tem, że ci dwaj, tak bliscy celu, utracą koronę niebieską. Poszedł do więzienia i w gorących słowach przemówił do nich o obowiązku ich względem Boga. I o tem, że Jezus wszystko dla nas opuścił, nawet swoją Matkę ukochaną.

Gdy tak prawił, nadszedł Nikostratus, dozorca więzienia, z małżonką swą, imieniem Zoe. Przynieśli więźniom jedzenie. Dozorca-poganin przeraził się niemało, gdy usłyszał takie słowa z ust cesarskiego oficera.

Sebastjan mówił dalej. Coraz goręcej i wspanialej sławił królestwo Chrystusowe i miłość Jego.

— Jeżeli twój Bóg jest istotnie taki potężny, to niech uzdrowi tę oto żonę moją, która od lat jest głucha i słowa powiedzieć nie może — zadrwił Nikostratus.

Sebastjan zwrócił się do niej. Była rzeczywiście głuchoniema. Padł na kolana i w gorącej modlitwie błagał o cud, który mógł nawrócić tyle dusz.

Bóg i Pan wysłuchał wiernego sługę. Rozwiązały się uszy i wargi Zoe, która wybuchnęła głośnemi okrzykami radości.

W tejże godzinie Nikostratus i Zoe dali się ochrzcić. Marek i Marceljan odnowili przysięgę wierności Panu swemu z najgłębszego serca. W kilka dni później weszli jako męczennicy do nieba.

Wielu, wielu braciom w Chrystusie dopomógł Sebastjan, nie bojąc się wykrycia czy prześladowania. Cezar[1]) jeszcze niczego nie podejrzewał. Jakże chętnie Sebastjan wyznałby przed nim wszystko! Nie lubił tajenia, a wielka była jego tęsknota za męczeństwem. Ale jemu, jak wszystkim chrześcijanom, nie wolno było zwracać na siebie samowolnie złości pogan. Mieli w milczeniu cierpliwie czekać, czy Bóg zażąda od nich ofiary życia.

* * *

Wybiła wreszcie wielka godzina. Cesarz dawał posłuchanie. Sebastjan i żołnierze jego stali jak zazwyczaj dokoła tronu. Poddani przychodzili z prośbami i odchodzili, a wszyscy drżeli przed zmiennem usposobieniem tyrana.

Wśród nich był pewien młody Rzymianin złych obyczajów. Popadł w niełaskę u cezara. Nadaremnie prosił i błagał o względy, cesarz nie zwracał nań uwagi. A gdy nie chciał odejść, zwrócił się doń władca ostro:

— W niczem nie mogę ci zaufać, ty tchórzu, a ty dopraszasz się względów ode mnie?

---

[1]) Cezar — tytuł cesarza rzymskiego.

Wściekły gniew zakipiał w żyłach poniżonego młodzieńca. Słyszał śmiech wśród dworzan. Wzrok jego padł przypadkowo na Sebastjana, który, poważny i spokojny, stał na swym posterunku.

Przemknęło mu przez myśl jakieś wspomnienie. Fałszywe jego oczy zamigotały złowrogo. Widział tego oficera kilkakrotnie, gdy opuszczał katakumby w przebraniu wieśniaka. Słyszał, jak szeptali dozorcy więzień, że ten jest chrześcijaninem. Na nim mógłby teraz wywrzeć swą zemstę.

— Mnie nie ufasz, cezarze — zawołał zuchwale — a wierzysz takiemu tchórzliwemu obłudnikowi, jak ten chrześcijanin, Sebastjan!

— Kłamiesz, potwarco! — krzyknął nań cezar. — Jak śmiesz tak twierdzić?

Nieszczęśnik padł na kolana, przerażony gniewem cesarza. Dioklecjan zwrócił się do swego oficera:

— Powiedz mu, że kłamie, i wrzuć go potem w najgłębszy loch!

Wielka chwila nadeszła. Czy Sebastjan ulęknie się gniewu cesarza i zawstydzi się przed zebranym dworem? Spokojnie wystąpił krok naprzód i spojrzał prosto w oczy swemu władcy.

— On nie kłamie, cezarze — rzekł — jestem chrześcijaninem.

Cisza grobowa zaległa wielką salę, jakgdyby wszyscy skamienieli. Przerażonemi oczyma wpatrzyli się w Sebastjana. Cesarz, pobladłszy, opadł z powrotem na krzesło tronowe. Kurczowo zacisnął rękę na złoconej poręczy.

— Ty, Sebastjanie? — wykrztusił ochrypłym głosem. — I ty należysz do tych zdrajców i wrogów państwa?

Rumieniec oblał twarz oficera. Kochał swego cesarza. Ach, gdyby mógł mu wszystko wyjaśnić,



gdyby mógł opowiedzieć o błogosławionem królestwie Chrystusowem!

— Nie jestem zdrajcą ani wrogiem państwa, cezarze — powiedział z przejęciem — nie masz wierniejszego sługi w całem swem państwie nade mnie. Chrześcijaństwo uczy nas właśnie wierności aż do śmierci, aż poza dni żywota. O, gdybyś chciał, cezarze, poznać tę naukę. Wtedy...

— Milcz! — przerwał mu cesarz.

Odzyskał już spokój. Rozejrzał się groźnie wokoło. Zobaczył radosny triumf na nienawistnej twarzy oskarżyciela. Czuł, że dworzanie jego, mimo spojrzeń pełnych czci, mówią sobie w duchu ze śmiechem:

— Niedość, że się cesarz dał oszukać, teraz ten spryciarz chce go jeszcze nawracać!

Kochał Sebastjana bardzo; tem silniej zabolało go rozczarowanie.

— Precz z nim, na śmierć z nim! — rozkazał innemu oficerowi, rozwścieczony. — Ale nie zginie śmiercią chwalebną na arenie! Niech go na tylnym dziedzińcu zgładzą murzyni, moi łucznicy, jak chcą! Tego też weźcie mi sprzed oczu — dorzucił okrutnie, wskazując klęczącego wciąż jeszcze młodzieńca — żeby się nie ważył stanąć jeszcze kiedy przede mną!

Sebastjan milcząc skłonił się ze czcią przed władcą. Potem wyszedł z sali tronowej pewnym krokiem naprzeciw śmierci.

* * *

Nazajutrz, o szarym chłodnym brzasku wyprowadzili murzyni skazańca z więzienia. Byli to półdzicy ludzie, niewolnicy, pojmani na wybrzeżach Afryki. Rzymianie pogardzali nimi. Oni zaś nienawidzili dumnych białych ludzi. A chociaż z tym dziwnym oficerem nic nigdy nie mieli wspólnego,

był jednak Rzymianinem, a więc ich wrogiem. Piekielną rozkoszą napełniała ich myśl, że mogą go teraz na śmierć zamęczyć.

Przywiązali go do drzewa, aby im służył za tarczę strzelniczą. Wśród drwin i przezwisk zasypali go gradem ostrych strzał. Aż wreszcie padł rozdarty i przebity nawylot.



A Sebastjan co czuł i czynił? Po ostatniem smutnem spojrzeniu, rzuconem na cesarza, wstąpiła weń niebiańska radość, którą ledwo mógł ukryć. Całą noc klęczał z rozwartemi ramionami w cuchnącej norze, w której go uwięziono. A gdy go przywiązano do drzewa, gdy ciało drżało wstrząsane bólem, wtedy dusza jego radowała się coraz bardziej. Jedno go tylko smuciło — zatwardziałość ukochanego cesarza. Co będzie, jeżeli on

umrze w swych grzechach? Sebastjan zadygotał, całem sercem modlił się za tego zakamieniałego człowieka.

Murzyni skończyli swą okrutną zabawę, ofiara ich osunęła się na ziemię. Wówczas rozcięli powrozy, wynieśli ciało z podwórca i porzucili je opodal na łące. Niech je bierze, kto chce!

Tam znalazła ciało pewna nader pobożna niewiasta. Wieść o uwięzieniu Sebastjana rozeszła się lotem błyskawicy wśród rzymskiej gminy chrześcijan. Strach i żal padł na wszystkich. W każdej katakumbie modlono się za pobożnym bohaterem.

Irena, wdowa świątobliwa, ukryła się wpobliżu koszar murzynów. Miała nadzieję, że się tu czegoś bliższego dowie.

I dowiedziała się wszystkiego, gdy ujrzała u swych stóp zwłoki męczennika, krwią zbroczone

Płacząc gorzko, podjęła ciało i uniosła je do swojej willi. Złożyła je na łożu i chciała przybrać do pogrzebu. Wtem drgnęła — serce Sebastjana biło jeszcze leciutko!

Teraz czekała Irenę praca zbożna, święta! Z niezwykłą troskliwością pielęgnowała śmiertelnie chorego człowieka. Pielęgnowała go i dbała o niego, aż wyleczył się z wszystkich ran. Sebastjan wrócił do życia.

Był blady i wychudzony, wyglądał niemal jak widmo. Ogarnęła go dziwna powaga, jakby już

nie należał do tego świata. Był już u wrót nieba i znów miał powrócić na ten padół płaczu?

Im szybciej powracał do zdrowia, tem silniej jaśniała w nim jedna myśl. Bóg wysłuchał jego modlitwy — jeszcze jedno zadanie miał do spełnienia. I uradował się.

Aż nadszedł dzień, kiedy mógł wstać z łoża, mógł obejść się bez opieki wiernej swej pielę-



gniarki. Podziękował z serca zacnej kobiecie. Płakała, gdy odchodził. Ale on nikomu się nie zwierzył ze swych zamiarów.

* * *

I znów zbliżała się godzina, w której cezar udzielał posłuchania. Wolno było wtedy każdemu stawić się przed nim z prośbami. Z chmurnem

obliczem, powoli zstępował władca ze schodów, wiodących do sali. Dworzanie jego i straż przyboczna — inny oficer i inni żołnierze — postępowali za nim w milczeniu.

Wtem cesarz zatrzymał się, cofnął. Krew uciekła mu z oblicza. Dysząc patrzał na kogoś, co jak zjawa stanął przed nim. Sebastjan! Ten człowiek blady, z siwym włosem i twarzą zmienioną cierpieniem — to nie mógł być jego oficer, ongi pełen życia! A jednak to był ten, którego zamordowali jego łucznicy!

Zimny strach obleciał cesarza; chciał uciekać.

— Stój, cezarze, poczekaj i wysłuchaj mnie!

Ten głos, tak przez władcę umiłowany, jakże inne, nieziemskie miał teraz brzmienie.

W płomiennych słowach wieścił mąż ten wiarę Chrystusową, wieczystą nagrodę, jakiej Bóg udziela, ale także i kary, któremi grozi zatwardziałym grzesznikom.

— Ratuj swą duszę, cezarze, teraz, póki jeszcze czas! — zawołał wstrząsającym głosem.

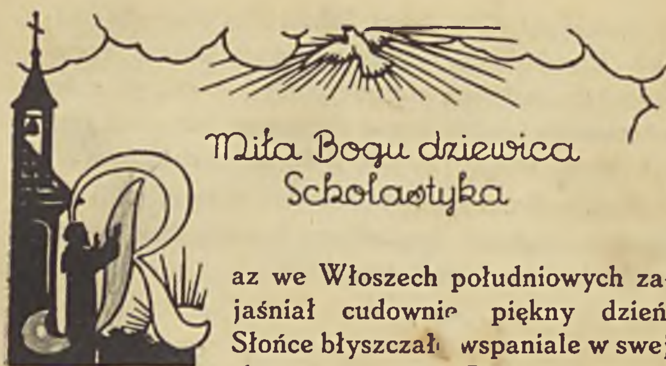
Nie mógł tego dłużej znieść cesarz. Krzyknąwszy zakrył twarz płaszczem i uciekł w głąb pałacu. Żołnierze pogańscy rzucili się teraz na kaznodzieję, nawołującego do pokuty. Siekli go mieczami, tłukli pałkami, aż wyzionął ducha.

Cóż to mogło obchodzić Sebastjana! Rozpromieniony wyciągnął ramiona ku niebu. Ono teraz do niego należy — skończyła się walka jego na ziemi.

A cesarz? Czy słowa Sebastjana odniosły skutek? Niewiadomo. Zrazu pozostał jeszcze krwawym prześladowcą chrześcijan. Ale już po roku dobrowolnie złożył krwią zbroczoną koronę i opuścił Rzym, w którym tylu dokonał okrucieństw.

Resztę życia spędził samotnie w swej willi Salonie w Dalmacji. Szczęśliwy, kto ma świętego za opiekuna i orędownika w niebie!





Miła Bogu dziewica Scholastyka

Raz we Włoszech południowych zajaśniał cudownie piękny dzień. Słońce błyszczało wspaniale w swej złocistej szacie. Szczyty Abruzzów[1]), zwykle ponure i dzikie, połyskiwały wesoło; czerwone, żółte i białe kwiaty uśmiechały się na ich pomarszczonych twarzach. Nawet niegodziwy strumyk górski zdawał się chichotać bezustanku.

Wśród tej wiosennej radości szła piękna dziewica Scholastyka. Towarzyszyło jej kilka pobożnych niewiast, które zgromadziła dokoła siebie jako uczennice. Czułem wejrzeniem ogarniały promienne oblicze swej ukochanej matki i przełożonej, założycielki zakonu. Wesołość jej udzieliła się również ich sercom, więc szły, radując się i śpiewając wśród samotnego piękna gór, i dzięki czyniły Bogu.

Raz do roku nadchodził taki dzień uroczysty; raz tylko opuszczała jaskinię, w której zamieszkała ze swemi mniszkami. Żyły tam jako święte pustelniczki, nieznane nikomu. Nikt nie miał widzieć

[1]) Czytaj: Abruców — jest to pasmo gór.

ich cnót i modlitw, prócz Boskiego Oblubieńca ich dusz. Tak poradził siostrze swej św. Benedykt, założyciel zakonu, wielki wychowawca narodów. A Scholastyka opuściła radośnie, jak i on, bogaty swój dom rodzinny, aby żyć w ukryciu jako kwiat Chrystusowy.

Raz w rok tylko opuszczał św. Benedykt swój klasztor, a Scholastyka wychodziła ze swej



pustelni. Piumarola, piękne ustronie, było miejscem ich spotkania. Tam się schodzili i rozmawiali o tem, co sercu ich było najdroższe: o Bogu.

Cały dzień spędziło rodzeństwo razem, rozmawiając o rzeczach niebiańskich. Twarz Scholastyki płonęła jak róża, gdy mogła tak prawić o Królu swego serca. Wiele, wiele jeszcze chcia-

łaby usłyszeć o Nim od swego mądrego brata. Ale niestety, oto już powstał!

— Bądź zdrowa, Scholastyko, słońce zachodzi, muszę wracać do klasztoru...

Gdy tak mówił, już przystąpili doń gotowi do drogi mnisi, którzy dotychczas skromnie czekali u drzwi izdebki.

Jakże zasmuciła się Scholastyka! Nikt nie potrafił tak cudnie mówić o Bogu, jak jej brat, a on chce ją już opuścić! Nie zobaczy go cały rok!

— Nie odchodź, pozostań jeszcze, bracie kochany — prosiła go i błagała — zostań choć raz przez całą noc, byśmy dowoli mogli mówić o niebie.

Święty Benedykt był niezadowolony z tej prośby. Istotnie Scholastyka domagała się czegoś niebywałego. W regule klasztornej spisanej przez tego męża bożego, której nikt wierniej odeń nie przestrzegał, stał nakaz: „Mnich ma wieczorem powrócić do swego klasztoru".

— Co ty mówisz, siostro moja! — skarcił ją zatem. — Jakże miałbym pozostać całą noc poza klasztorem? Przeciwnie, muszę się teraz śpieszyć, bo słońce już zachodzi.

Czerwona tarcza słońca, płonąca purpurą na pogodnem niebie, zaczęła się już zsuwać za grzbiety gór. Scholastyka wiedziała, że nie zdoła brata przekonać.

Dobrze, więc zwróci się do Tego, którego kocha jeszcze mocniej i goręcej, któremu wiernie i ochotnie służy przez całe życie. Ukryła szybko twarz w dłoniach i powierzyła wielkie pragnienie swego serca Boskiemu Oblubieńcowi.

Jakże chętnie udzielił Chrystus tego, czego nie mógł spełnić Benedykt, mąż posłuszeństwa!



Zaledwie Scholastyka wzniosła oczy, lśniące jeszcze łzami, a z pogodnego przed chwilą nieba lunęła straszna ulewa. Szalona wichura przygnała ją tu z gór. Mnichowi, który chciał drzwi otworzyć, orkan wyrwał je i zatrzasnął tak gwałtownie, że ten odskoczył przerażony.

— Boże ci odpuść, siostro moja! Coś uczyniła? — zawołał Benedykt zaskoczony, gdy usłyszał szum burzy.

Scholastyka zaśmiała się wesoło jak dziecko. Oczy jej błyszczały.

— Nie chciałeś mnie wysłuchać — powiedziała uradowana — więc błagałam mego Boskiego Oblubieńca, i On spełnił mą prośbę. Idźże, bracie, wróć do klasztoru, jeżeli możesz!

Było to niemożliwe. Burza szalała straszliwie. Drzewa padały z łoskotem, wokół zapalały się błyskawice. Strumień walił dziko poprzez drogi i zrywał mosty. Nikt nie mógł tej nocy wyjść z Piumaroli!

Zdumiał się mąż czcigodny i w milczeniu pochylił głowę przed tą siostrą, która taką moc miała nad Sercem Jezusowem, że żadnej jej prośbie nie odmawiało, choćby nawet cudu miało dokonać!

Noc całą przesiedzieli więc brat i siostra społem; aniołowie przysłuchiwali się i zdumiewali nad tą mądrością niebiańską w ustach ludzkich.

Nazajutrz słońce znów śmiało się wesoło i osuszało ślady wczorajszej nawałnicy. Święty Benedykt śpiewając poszedł z mnichami wgórę do swego klasztoru. Scholastyka i jej dziewice powróciły radośniejsze jeszcze niż przedtem do swej pustelni.

Trzy dni później stał święty Benedykt w swojej celi. Był wieczór; purpurowe słońce płonęło na niebie jak boska róża. Stało właśnie nad doliną,

w której były pustelnie dziewic, Bogu poświęconych.

Wtem zajaśniało coś w tamtej stronie silniej i wspanialej, niżby mogło jaśnieć jakie światło ziemskie. I Benedykt ujrzał duszę siostry, unoszącą się jako biała gołąbka z doliny. Szybko jak strzała wznosiła się ku górze, a śnieżne jej



pióra lśniły, jak drogie kamienie. Cudowna ta gołąbka, minąwszy słońce, poleciała prosto do nieba!

Wielki mąż padł na kolana, przepełniony radością, i podziękował Bogu. Potem przywołał zakonników. Opowiedział im o cudzie, który widział, i wysłał ich po ciało swej świętej siostry. Poszli zdumieni mężowie.

Księżyc stał wysoko na niebie, gdy powrócili, niosąc drogi ciężar. Święty klęczał u progu kościoła, aby go przyjąć. Następnego dnia pochował ciało w grobie skalnym wpobliżu klasztoru.

I tam po dziś dzień spoczywają obok siebie świątobliwi brat i siostra. Czekają, aż Anioł zawoła ich na Sąd Ostateczny.



Ukochany brat całego świata Franciszek z Asyżu

Cudny był poranek wiosenny. Słońce śmiało się prawdziwie po bożemu. Rośliny rozwierały swe kwietne oczy jak tylko mogły szeroko! Człowieka i zwierza przepełniała rozkoszna, śpiewna szczęśliwość.

Ale nigdzie nie było tak wesoło, tak uroczo, jak w lasach Włoch Środkowych, powyżej miasteczka Asyżu. Wszystko tam śpiewało, dźwięczało i kwitło, jak oszalałe.

Gdybyście byli szli w ów poranek przez ten las, musielibyście przystanąć ze zdumienia. Patrzylibyście i patrzyli, jak... właśnie jak ogłupiali. Dlaczego?

Na łączce usianej kwiatami stał mały biedny człeczyna. Odziany był w brunatną opończę, nogi miał bose. Nie starczyło już nawet na pasek: zwykły postronek przytrzymywał szatę. Człowiek ten stał pośrodku pustej, bezludnej łączki i kazał, jakby był w kościele. Dlaczegożby nie?

Nie kazanie jego było osobliwe, lecz słuchacze. Wszyscy mieli skrzydła i pióra, bo to były same

prawdziwe, żyjące ptaki! Siedziały przed nim cichutko, nieruchomo, ze skromnie złożonemi skrzydłami, przechyliwszy główki nabok. Słuchały słów o ojcowskiej miłości Boga dla wszelkiego stworzenia. Wkońcu mały człeczyna nakreślił znak krzyża świętego i zawołał wesoło:

— A teraz idźcie, bracia moi kochani, i głoście chwałę dobrego naszego Pana!

I uniosły się wgórę wszystkie ptaki, frunęły w powietrze i zanuciły głośną pieśń szczęścia, jakiej nie słyszeliście pewnie nigdy w życiu. Przedziwny kaznodzieja uśmiechnął się i poszedł dalej w swoją drogę.

A wy? Sądzę, że bylibyście za nim pobiegli, aby zobaczyć, dokąd on też idzie. Doszlibyście wreszcie do pewnej wesołej i brudnej wioski włoskiej. I zobaczylibyście wybiegającego z niej wieśniaka.

Z załamanemi rękoma, jęcząc przeraźliwie, upadł na kolana przed brunatno odzianym człekiem.

— *Santo!*[1]) — zawodził — wilk się znów pojawił! Teraz, na wiosnę! To niesłychane! Pożera nam najpiękniejsze sztuki bydła, i omal nie porwał małego dziecka! Właśnie nadbiegli pasterze z hali i opowiadają, że wilk podąża w ich ślady. Jeszcze takiego krwiożerczego nie było w całym kraju!

Dziwny człowiek potrząsnął głową zmartwiony.

[1]) *Santo* — święty.

— Pomówię z nim, drogi bracie Bernino — odpowiedział wieśniakowi.

Ten śmiejąc się zerwał się z klęczek.

Myślicie, że poszedł zwołać sąsiadów, aby z drągami i kijami wyruszyli na potwora? Nic podobnego! Przeciwnie, rozpromieniony zawołał do kilku uzbrojonych wieśniaków, nadbiegających ze wsi:

— *Santo* nasz sam pójdzie do wilka, możemy zostać spokojnie w domu!



A mężczyźni na tę wieść zawrócili do domów.

Pomyślelibyście może:

— Czy oni poszaleli?

A czy mielibyście odwagę pójść za tym dziwnym człowiekiem naprzeciw drapieżcy?

Wówczas ujrzelibyście, jak raptem wilk ogromny wypadł z gęstwiny. Wyskoczył tuż przed dziwnym człowiekiem, zatrzymał się gniewny, przestraszony. Człowiek ów podniósł rękę, a srogi zwierz skomląc przypadł do jego stóp.

— Bracie wilku, bracie wilku, co ja niedobrego słyszałem o tobie? — rozpoczęło się kazanie.

Potem nastąpiły wnikliwe nauki, jak źle, jak okrutnie zwierzę postępuje. A wilk, skowycząc żałośnie, zapaść się niemal chciał przed swym sędzią.

Ten zaś prawił dalej:

— Otóż, bracie nieposkromiony, wszystko będzie ci darowane. Uproszę wieśniaków z tej wsi, aby ci codzień przynosili do lasu trochę pożywienia, jeśli już tak źle z tobą. Pozatem odżywiaj się w dozwolony sposób!

Pochylił się dobrotliwie i pogładził zwierzamordercę. A ten machnął ogonem jak pies i pokornie liznął życzliwą rękę.

Potem człowiek ów poszedł od „brata wilka" do swych braci we wsi; opowiedział im o przyrzeczeniu, a oni chętnie przyobiecali żywić wilka. Byli teraz wolni od potwora.

Coprawda, nie udałoby się wam niepostrzeżenie chodzić długo za przedziwnym człowiekiem. Odkryłby was dawno i przyciągnąłby czule do siebie. A gdybyście, ośmieleni jego słonecznem usposobieniem, zapytali:

— Powiedz, bracie Francesco[1]), dlaczego nie nosisz ani butów, ani kapelusza, ani paska? — wtedy nie przestałby się weselić, a w oczach jaśniałby mu radosny blask miłości.

[1]) *Francesco* (czytaj: Franczesko) = Franciszek.

— To, dziecino, to są dary mej drogiej oblubienicy — odpowiedziałby.

Popatrzylibyście nań zdumieni. A on dodałby jeszcze goręcej:

— Oblubienica moja jest najmilsza ze wszystkich kobiet na świecie. To święta pani Ubóstwo!



Może zabrałby was ze sobą do tych wszystkich biednych lepianek i stajenek, w których mieszka wraz ze swymi uczniami. Śpią na ziemi, a chleb powszedni muszą użebrać w domu bogaczy. Tylko krzyż wisi na ścianie, ale znać po nim, jak często i gorąco jest całowany.

— Tak, tak — dodałby ten wesoły biedaczyna — tu króluje wyłącznie nasza pani Ubóstwo. I zapamiętajcie to dobrze, braciszkowie i sio-

strzyczki, nikt nie może tak uczynić człowieka wolnym i szczęśliwym, jak słodka moja, święta oblubienica, Ubóstwo!

* * *

Franciszek z Asyżu — tak zwał się ów szczęśliwy człowiek, dla którego wszystkie stworzenia boskie były braćmi i siostrami. Który radość znajdował jedynie w ubóstwie, modlitwie i ciągłej pracy dla dusz.

Zdawaćby się mogło, że stoi na bardzo wysokiej, oświetlonej słońcem górze, gdy tak na niego patrzymy. I sami siebie w duszy pytamy:

— Jak on się dostał na tę górę, na której nas niema? Czy on, ten szczęśliwiec, już się na niej urodził?

O nie! Posłuchajcie tylko jego dziejów:

W Asyżu, małej górskiej mieścinie we Włoszech, żył bogaty kupiec — zwał się Pietro Bernardone — wraz z żoną swą Picą[1]. Byli to ludzie poważani. Mieli syna jedynaka, młodego Francesca.

Piękny to był chłopak, żwawy i wesoły; przewodził też całej młodzieży Asyżu. Co to były za figle, zabawy, co za gry!

Niejeden mieszkaniec szarego miasta potrząsał głową, ale ojciec Bernardone śmiał się tylko i był dumny z syna. Matka Pica również nie trzaskała drzwiami, gdy syn jej późnym wieczorem przyprowadzał tuzin lub dwa tuziny wygłodniałych urwisów, domagających się uczty.

[1] Czytaj: Piką.

A potem wesoła kompanja wyruszała w noc księżycową, śpiewając i grając. Z niejednego okna wychylała się głowa w szlafmycy i z oburzeniem żądała, by poskromić tych krzykaczy. Co się wtedy chłopaki naśmiały! A gdy sąsiedzi przychodzili do ojca Bernardone, to — o zgrozo! — on śmiał się również!

Gdy Franciszek dorósł, zapragnął większych przygód. Król Sycylji wybierał się właśnie na wojnę; młodzi rycerze ciągnęli doń ze wszystkich stron.

Franciszek był tylko synem zwykłego sukiennika, ale zapragnął iść z nimi koniecznie. I to w zbroi, na koniu! I znów ojciec nie mógł mu odmówić. Ekwipunek nieźle nadszarpnął kiesę kupca, ale niech tam — młodzian Franciszek wyruszył jak prawdziwy rycerz na wojnę.

Śmiejąc się i płacząc, nakreśliła za nim matka krzyżyk na pożegnanie.

— Niech cię Bóg błogosławi, *Francesco mio*[1], i niech mi cię takim zachowa.

Mogła tak rzeczywiście powiedzieć. Bo chociaż przewodniczył we wszystkich sprawkach i figlach łobuzerskich, jednak nie dopuścił się nigdy nieobyczajności. Zachował serce czyste; nigdy słowo sprośne nie padło przy wesołych ucztach.

[1] Franciszku mój.

I jedną jeszcze miał wielką cnotę: współczucie dla biednych. Żadnego żebraka nie odprawił od drzwi, nie obdarowawszy go wpierw. Uczynił nawet ślub uroczysty, że nigdy się pod tym względem nie zmieni.

Teraz można zrozumieć prośbę pani Piki: „Niech mi cię Bóg takim zachowa!" Nie została wysłuchana. Nie wrócił „takim", wrócił do niej o wiele lepszym.

Chociaż zawsze był wesoły, ostatniemi czasy nachodziły go jednak coraz częściej wątpliwości. Zwłaszcza podczas długotrwałej choroby wciąż zadawał sobie pytanie:

— Czy to jest życie, do którego mnie Pan Bóg stworzył?

I modlił się często:

— Panie Boże, jeżeli dla mnie inną obrałeś drogę, to mi ją wskaż!

Wojna wydała mu się tą lepszą drogą i dlatego ochotnie wyruszył na nieprzyjaciela. Ale się mylił, nie miał iść przez życie jako rycerz!

Zanim dotarł do obozu króla sycylijskiego, rozchorował się ciężko w drodze. Musiał przeleżeć dłuższy czas w pewnej samotnej gospodzie. W czasie tej choroby modlił się znów pełen troski:

— Boże mój, wskaż mi drogę właściwą!

I Bóg go wysłuchał. Głośno zabrzmiał głos Jego w duszy Franciszka:

— Wróć do domu!

Boski rozkaz: „Wróć!" nie był drobnostką dla młodzieńca. Ileż ofiar kosztował jego rynsztunek wojenny! Ile o tem rozpowiadano w Asyżu! A teraz miał powrócić do domu jak tchórz, nie oglądając nawet wroga zdaleka!

Franciszek spełnił tę ofiarę. Zdumionemu ojcu powiedział tylko:

— Nie mogłem inaczej.

Ojciec Bernardone był wspaniałomyślny. Nie pytał wiele, chociaż to rozczarowanie przygnębiło go wewnętrznie. Cały Asyż śmiał się.

Franciszek nie miał spokoju ani na chwilę. Powrócił, ale co miał teraz począć? Błąkał się całemi dniami po lasach. Wiele godzin spędzał na modlitwie, zwłaszcza przed ukrzyżowanym Chrystusem w napół rozpadłej kapliczce przydrożnej San Damiano[1]).

Raz powracał konno stamtąd do domu. Był bardzo nieszczęśliwy. Wtem zastąpił mu drogę żebrak. Franciszek odskoczył przerażony — to był trędowaty!

Niedaleko Asyżu znajdował się dom, w którym samotnie, omijani zdaleka przez wszystkich, mieszkali nieszczęśnicy, dotknięci najwstrętniejszą, najzaraźliwszą z chorób. Musieli żebrać na utrzymanie.

Franciszek ścierpł ze strachu. Aż mu się niedobrze zrobiło, skoro spojrzał na okropną zjawę.

---

[1]) Pod wezwaniem św. Damjana.

Ale gdy starał się poskromić spłoszonego konia, przemknęła mu szybka myśl:

— Czy Bóg nie chce ciebie doświadczyć? Jakże możesz Mu być sługą prawdziwym, kiedy nie kochasz cierpiących Jego braci?

Franciszek, który nie czynił niczego połowicznie, zeskoczył natychmiast z konia. Pobiegł prosto do chorego, dał mu wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, uściskał go i ucałował. Troskliwie odprowadził go do domu, obmył i opatrzył tu wszystkich chorych.

Gdy skończył, westchnął z ulgą i odszedł. Dokonał wielkiej ofiary; miał nadzieję, że Bóg ją przyjmie i wspomoże go.

A Bóg przyjął ją, jak przyjmuje wszystko, co czynimy z dobrą wolą. Udzielił mu światła, którego pragnął.

Najpierw przemówił doń z wielkiego krzyża w San Damiano. Potem poprowadził przez wewnętrzne łaski i oświecenia.

Bóg ukazał bogatemu młodzieńcowi, że jest powołany, aby w nowy i przedziwny sposób naśladował ubogie życie Chrystusa. A Franciszek radośnie wypełnił przykazania, które mu Bóg dał.

Złożył ojcu swemu do stóp wszystko, co kiedykolwiek od niego otrzymał. Nawet szaty! W jednej koszuli, okryty płaszczem żebraczym, który mu podarowano, udał się Franciszek do lasu.

Żył teraz w zupełnem ubóstwie. Zarabiał na chleb jako najemny robotnik lub chodził i żebrał.

Użyczono mu komórki na mieszkanie. Pracą rąk swoich poodnawiał wszystkie okoliczne kapliczki, które się rozpadały w gruzy, od San Damiano począwszy. I przemawiał do wszystkiego ludu, który doń przychodził.

Bóg nagrodził jego ofiarność łaską przeobfitą. Aż wreszcie Franciszek zapałał taką miłością do Boga i wszystkich stworzeń, jak mało który z śmiertelników.

Niebawem przyłączyło się do niego wielu uczniów, i żyli jak i on. Taki był początek zakonu franciszkanów, który po dzień dzisiejszy w ubóstwie i radości służy Panu Bogu.

W taki to sposób dostał się Franciszek na ową wyżynę łaski, na której ujrzeliśmy go przedtem i podsłuchali. Prowadziła do niej droga cierniowa!

* * *

Jeszcze wyżej i dalej zaszedł Franciszek na ścieżce, prowadzącej do nieba. Brat całego świata stał się bratem mieszkańców niebieskich, a wkońcu bratem samego Zbawiciela.

Byłoby dla was zbyt uciążliwe biec za nim na te wyżyny, jak to uczyniliście, gdy szło o kazanie dla ptaków czy o wilka. Bo musielibyście chyba zostać jasnemi aniołkami, chcąc się zbliżyć do świętego męża!

Wtedy bylibyście obecni w ową cudowną noc, gdy aniołowie nawiedzili wąziutką celę. Franciszek był smutny. Gnębiły go dotkliwe cierpienia,

a także troska o powierzone mu dusze. Leżał na twardem posłaniu ze ściągniętemi boleśnie brwiami i milczał. Aniołowie unosili się dokoła jego chatki chętnie jak zazwyczaj.

Żałosne współczucie przepełniało dobre ich serca. Jeden z nich jak strzała poleciał do nieba i upadł na kolana przed tronem Najwyższego. Potem wrócił i niedosłyszalnie wszedł do małej celi.

Chory zerwał się. Zaczerwienił się z wielkiej radości. Anioł zaś uśmiechnął się niebiańsko, jak żaden człowiek nie potrafi. Potem wziął skrzypce, ujął za smyczek. Święty Franciszek złożył ręce wychudłe i słuchał z rozkoszą. Anioł raz tylko pociągnął smyczkiem, ale wydobył ton tak cudownie piękny, że chatka zadrżała i rozbrzmiała jak niebiańska sala. Franciszek płonął z zachwytu jak róża.

— Widzisz, kochany bracie — powiedział anioł — to jest pieśń, którą gramy w niebie. Gdybym pociągnął smyczkiem po raz wtóry, serce pękłoby ci z radości.

Po tych słowach świetlany gość wzniósł się z niziutkiej izbeczki w wieczyste wyżyny.

Gdybyście mogli zajrzeć później do ubogiej celki, zaprawdę, zamiast cierpiącego znaleźlibyście w niej męża w niebiańskim zachwycie.

Te odwiedziny brata-anioła nie były jeszcze szczytem w życiu syna sukiennika. Przyszła godzina, w której Pan nieba i ziemi nazwał go swym „bratem" i ognistemi głoskami wypisał mu swą miłość braterską!

Mało wiemy o tej nieziemskiej godzinie. Bo nawet najukochańsi uczniowie nie mogli od mistrza więcej wydobyć prócz kilku słów ogólnych.

Wiemy tylko tyle, że Święty spędził parę tygodni samotnie i prawie bez jedzenia na twardej, nagiej skale. Wciąż modląc się i modląc. Na szczyt ten wstąpił jako pobożny, nawet święty



człowiek. Powrócił zeń ukrzyżowany podobnie jak jego Zbawiciel.

W promiennej chwale ukazał mu się Jezus. Serafiny otaczały Go. I wycisnął pięć świętych ran swoich na ziemskiem ciele ukochanego ucznia, pięć płomiennych, niezniszczalnych ran, jakie Chrystus na swem chwalebnem ciele nosi na znak naszego zbawienia. Franciszek był teraz we wszystkiem Jemu podobny. Czy może większe szczęście spotkać człowieka?

I tak nadszedł wreszcie dzień ostatni. Już Franciszkowi nie wystarczał ten szczyt miłości. Teraz chciał i teraz mógł ulecieć prosto do nieba.

Wszyscy uczniowie stali dokoła niego. Była wśród nich i święta Klara, dziewica świątobliwa, założycielka zakonu franciszkanek podług jego reguły. Wszyscy płakali.

A on śpiewał, weselił się i wielbił Boga. Nie sprzeniewierzył się w owej chwili żadnemu ze swych ziemskich braci. O nie! W swej ostatniej pieśni wspomniał wszystkich: i siostrę wodę, i siostrę ziemię, i brata księżyca, i brata słońce, całe swoje rodzeństwo spośród zwierząt i roślin, a także „kochaną siostrę śmierć". Wszystkich przywoływał, aby cieszyli się wraz z nim w dzień jego urodzin dla nieba. I któżby wątpił, że wszyscy przybyli?

Nie zapomniał też o swej umiłowanej oblubienicy, o surowej Pani-Ubóstwie. Jakżeby miał zaniedbać wierną towarzyszkę życia w godzinie śmierci? Franciszek zmusił swych braci zakonnych, aby go podnieśli z ubogiego łoża. Umarł, leżąc na gołej ziemi w prochu.

A jego promienni bracia-aniołowie podjęli swego umiłowanego braciszka i ponieśli ku Temu, który zstąpił na ziemię, aby być naszym Bratem najświętszym.

Pociecha Chrystusowa błogosławiona Imelda

Dwaj aniołowie siedzieli u wrót nieba i spoglądali na ziemię. Siedzieli przytuleni do siebie, otoczeni wspaniałym blaskiem. Dokoła nich płonął niezmierzony przestwór gwiezdny. Dobre ich spojrzenia spoczywały na naszej kuli ziemskiej.

Ale zwracały się też poza siebie, w niebo, i oglądały Boga. Wtedy aniołowie promienieli zachwytem.

— Uwielbiajmy Najwyższego! — wołali i śpiewali głośno wciąż i wciąż.

— Od miljardów lat głosimy Jego chwałę — rzekł jeden w błogiem upojeniu — a przecież mi się wydaje, że jeszcze nie zaczęliśmy Go sławić!

Od oblicza Boga w Jego chwale obrócili spojrzenia na przybytki Pana na ziemi. Białe hostje świeciły jak tysiączne słońca poprzez ciemności świata. I anioły uwielbiły Pana w Jego chwale i w Jego ukryciu.

— Ach, że też ludzie mają takie serca kamienne! — skarżył się jeden z aniołów. — Dzień

i noc mają pośród siebie Najmiłosierniejszego, a tak Mu się odwdzięczają! Prawie wszystkie kościoły stoją pustką!

I zabiadał duch niebiański nad taką niesłychaną niewdzięcznością.

— Ten, któremu się należy cześć najwyższa, otworzył ludziom własne Serce — westchnął drugi — a oni przeszywają je swemi grzechami. Czy niema na ziemi ani jednej duszy, któraby zakwitła jako kwiat radosny dla więźnia miłości w ołtarzach?

Anioły siedziały w milczeniu. Dokoła nich panował ruch i szum: to dusze tych, którzy tego dnia pomarli, szły na sąd. I chwalebne dusze, które mogły opuścić ciemną krainę ognia czyśćcowego. A potem anieli-stróże ludzi na ziemi. Przybywali, aby przynieść Panu modły i uczynki tych, których strzegli. Zanosili prośby ludzkie i wesoło powracali z łaską niebiańską. Furkotało i lśniło u bramy raju wieczystego. Szczęśliwi ulubieńcy boży szli tędy.

Dwaj aniołowie zatrzymali aniołów-stróżów.

— Opowiedzcie nam o tych, którymi się opiekujecie — prosili. — Czy są pociechą i radością dla Boskiego Więźnia miłości?

Niebianie zwykle smutnieli przy takich pytaniach.

— Ach — wzdychali — ich miłość jest taka słaba, taka zimna!

Obaj furtjanie zabiadali głośno.

— Więc niema nikogo na ziemi, ktoby Zbawicielowi ofiarował miłość wynagradzającą?

— Uspokójcie się, bracia! — zabrzmiał głos za nimi.

Odwrócili się. Stał przed nimi piękny Anioł-Stróż. W spojrzeniu jego nie było smutku.

— Słyszałem wasze skargi. Pójdźcie za mną.



Lotem strzały pomknął na ziemię, z dłońmi pełnemi złotych łask. Obaj aniołowie lecieli za nim poprzez wszechświat w zawrotnym pędzie, szybkim jak światło. Stanęli na małej gwieździe, którą zowiemy ziemią.

Przewodnik zawiódł ich do małego ogródka. Kwitnęły tu białe lilje na wysokich łodygach. Róże i krzewy heljotropów tworzyły wonne szpalery.

Przy ogrodzie był dom. Z otwartego okna dolatywał śmiech dziecięcy.

W ogrodzie stała mała dziewczynka całkiem sama. Miała może dziesięć lat, była szczupła i blada. Oczy jej świeciły jak jasne lampki. Anioły dostrzegły na jej czole cudowny blask czystej duszy.

Zakonnica-dominikanka szła ścieżką. Przystanęła koło dziecka i zapytała życzliwie:

— Co tu robisz, Imeldo?

— Będę zrywać lilje i ozdabiać ołtarze! — odpowiedziała dzieweczka ze szczęśliwym uśmiechem. — Matka zakrystjanka potrzebuje jeszcze kwiatów, bo kościół musi być bardzo, bardzo piękny na jutrzejszą pierwszą Komunję świętą.

Umilkła. Przez chwilkę twarzyczka jej drgała boleśnie, a w oczach zaświeciły łzy. Ale przełknęła je dzielnie i dalej zrywała kwiaty. Zakonnica westchnęła.

— Czy nie chciałabyś, kochanie, pobawić się z dziećmi? — zapytała. — Słyszysz, jak tam wesoło?

— O, dziękuję matce — odpowiedziała Imelda. — Owszem, to bardzo przyjemnie. Ale ja o wiele bardziej wolę ozdabiać kościół dla Pana Jezusa.

Nazrywała już dużo lilij, obiema rękami dźwigała wspaniałą naręcz śnieżnych kwiatów. Ledwie mogła je unieść. Ale biegła, jak się dało. Jej

Anioł-Stróż podążał obok niej. Podtrzymywał ją ostrożnie, aby nie upadła.

W kilka chwil później zabrzmiał dzwonek u furty. Siostra otworzyła ją i wpuściła do ogrodu poważną, piękną panią, która serdecznie przywitała zakonnicę.

— Co porabia moja córeczka? — zapytała pani i rozejrzała się wokoło.

— Imelda ma się dobrze — odparła siostra. — Jest dla nas wszystkich pociechą. W tej chwili



jest w kościele, jak często zresztą, i przyozdabia ołtarz na jutrzejszą pierwszą Komunję.

— Ach, gdybyż to mogła być i jej pierwsza Komunja! — westchnęła matka Imeldy. — Obawiam się, że dziecko ginie z tęsknoty za Zbawicielem w hostji świętej.

— I ja się tego obawiam — cicho powiedziała zakonnica. — Nasza droga matka przełożona prosiła nawet niedawno księdza biskupa o pozwolenie dla niej na tak wczesną pierwszą Komunję św.

Ale on orzekł, że nie, że to byłoby przeciwne przyjętym zwyczajom. Chybaby przyszedł taki papież — tak mówił — któryby sam takim małym dzieciom otworzył drzwiczki tabernakulum. Ach, jakże jabym chętnie to uczyniła dla naszej dzieciny!

— Co to za głosy dziecięce? — zapytała pani. — Nie słychać ich nigdy w waszym cichym klasztorze.

Siostra uśmiechnęła się.

— Dzisiaj są imieniny matki przełożonej. Więc zaprosiła mnóstwo dzieci z miasta na tę wesołą uroczystość. Teraz bawią się wszystkie w dużej sali na dole, aż miło popatrzeć. Tylko Imelda woli przystrajać kościół.

Rozmawiając udały się obie kobiety w stronę klasztoru.

Imelda powróciła tymczasem ze swym Aniołem-Stróżem do ogrodu. Zaczęła skrzętnie zbierać drugą wiązkę kwiatów.

— Skąd wzięła się ta mała tu w domu poważnych zakonnic? — zapytały oba anioły.

Anioł-Stróż uśmiechnął się czule.

— Moja Imeldka jest niezwykłem dzieckiem — opowiadał, bacząc przytem pilnie, aby mała nie skaleczyła się o cierń lub gałąź. — Ma ojca, matkę, wiele rodzeństwa; sprawia im wszystkim zawsze tylko radość. Ale odkąd umie myśleć, kocha Boskiego Zbawiciela bardziej od kogokolwiek. I pyta się i dowiaduje niemal co godzina o Jego

życie, o Jego nauki! Matka starała się zadośćuczynić tej pobożnej żądzy wiedzy. Proboszcz, choć taki zapracowany, udzielał zbyt dojrzałemu dziecku nauki. Ale nikt nie jest w możności zaspokoić jej pragnienia prawdy niebieskiej. Dlatego matka oddała ją na parę tygodni do zakonnic. Sądziła, że pod opieką oblubienic Chrystusowych dobrze będzie Imeldzie. I tak się stało; dziecko jest tu szczęśliwe jak młoda zakonnica. Ale i tu nie umilkła tęsknota. Serce jej łaknie i woła Jezusa, którego tak gorąco umiłowała.

Anioł umilkł i patrzył rzewnie na powierzone mu dziecko.

A drugi rzekł:

— Jakież czyste ma serduszko!

— O tak, bardzo — potwierdził Anioł-Stróż — chociaż miała swoje wady. Była ciekawa, łakoma i kłótliwa, jak wszystkie dzieci. Ale w tych niewielu latach swego życia z miłości do Jezusa tak dzielnie zwalczała wrodzone wady, że się ich prawie zupełnie wyzbyła. Wiem, że jest wielką pociechą i radością Syna Bożego.

— Jego pociechą — powtórzyły anioły i spojrzały na siebie zadowolone.

* * *

Nadszedł dzień pierwszej Komunji św. Chłopcy i dziewczynki w odświętnych strojach zapełnili kościół. Rodzice uradowani klęczeli obok nich. Wiele wiernych przybyło na tę wzniosłą

uroczystość. W głębi, na chórze, przeznaczonym dla zakonnic, modliły się biało ubrane pobożne niewiasty. Imelda, miła dziecina, klęczała wśród nich. Aniołowie otaczali ołtarz śpiewając.

Święta Ofiara dokonała się, krew Zbawiciela spłynęła na dusze ludzkie. Duchy niebieskie padły na kolana w uwielbieniu. Ale z bólem patrzały, jak ozięble, jak chłodno modlili się ludzie. Tyle nieskończonej miłości Zbawiciela, a taka mała podzięka zbawionych! Anioły zakryły oblicze, bo widziały miłość zasmuconą na twarzy Zbawcy.

Nadeszła chwila pierwszej Komunji. Wszystkie dzieci podeszły do stopni ołtarza. Były czyste i dobre, nie było wśród nich Judasza. Każde przyniosło trochę cnót, trochę miłości, a wiekuisty Przyjaciel dzieci dawał się im z miłością nieskończoną. Ale tylko słabe i nikłe płomyki miłości wznosiły się z tych serduszek ku morzu płomieni w Sercu Jezusowem.

Jedno jeszcze dziecko klęczało w kościele, wtyle na chórze. Mała, blada dziewczynka. Anioły spojrzały na nią i zobaczyły, jak z jej serduszka uderzył płomień aż do tabernakulum. Płomień najczystszej miłości. Zdawało się aniołom, że w jego świetle kościół cały się rozpłomienił. Zbawiciel też spojrzał na dziecko wzrokiem niepojętej miłości. Anioły wiedziały: ta miłość dziecięca raduje nawet samego Syna Bożego. Wyciągnął ramiona do małej Imeldy.

Zakonnice, rodzice i rodzeństwo Imeldy, cały kościół widział ten cud: Hostja święta wyrwała się z ręki kapłana, przeleciała nad głowami ludzi, przyleciała do dziecka na chórze.

Imelda oczy przymknęła w zachwyceniu. Przyjęła swoją pierwszą Komunję świętą.



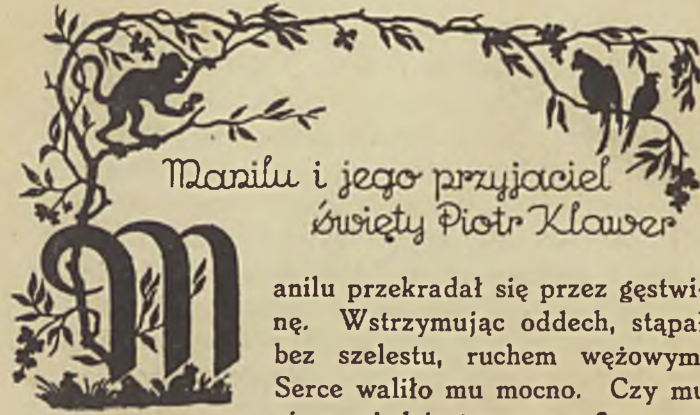
Dwie godziny klęczało dziecko wciąż jeszcze nieruchomo. Wtedy podeszła doń zakonnica, aby je zabrać. Poruszyła lekko ramię dziewczynki, zawołała ją po imieniu. Napróżno. Imelda już nie żyła. Zmarła przed dwiema godzinami, serduszko jej pękło ze szczęścia. Poszła do nieba w ramiona Jezusa.

* * *

Oba anioły już nie siedzą u bram niebieskich. Unoszą się dokoła tronu Boga, a niebo rozbrzmiewa śpiewem ich wesela. Delikatny głosik dziecięcy miesza się w te pienia radosne.

To mała Imelda, którą Boski Zbawiciel trzyma w swych ramionach. Teraz jego pociecha będzie przy Nim i pozostanie na wieki.





Manilu i jego przyjaciel święty Piotr Klawer

Manilu przekradał się przez gęstwinę. Wstrzymując oddech, stąpał bez szelestu, ruchem wężowym. Serce waliło mu mocno. Czy mu się powiedzie tym razem?

Kolczasta liana zaplątała się w jego długie czarne włosy, trzeba ją było mozolnie usunąć. Co za nieznośne opóźnienie!

Wreszcie młody syn wodza może sunąć dalej. Doszedł do skraju zarośli, spojrzał na małą polankę.

Odetchnął głęboko. Silnie ujął łuk dłonią czarną jak heban, cicho wyjął strzałę z kołczana. Strzała była na końcu cienka jak włos; jego ofiara nie będzie się mogła łatwo od niej uwolnić.

Należało, oczywiście, trafić dokładnie powyżej serca. A to się dotychczas nigdy jeszcze nie udało temu trzynastoletniemu Afrykańczykowi. Niejeden młodszy chłopak z wioski dokonał tej sztuki, a on, jedyny syn wodza... Myśl ta piekła go jak ogień! Ale dzisiaj nie zadrży mu ręka z nadmiernej żądzy myśliwskiej. Dzisiaj musi paść strzał mistrzowski!

Na polance pasła się młoda antylopa, nie przeczuwając niczego, nie czuła gorących spojrzeń, na nią skierowanych. Nic nie zdradzało bliskiej śmierci. Nie usłyszała cichego furkotu wyrzuconej strzały. Drgnęła dopiero pod wpływem kolącego bólu i wykonała gwałtowny skok dogóry. W przerażeniu rzuciła wtył piękną rogatą głową i, stęknąwszy z bólu, popędziła biedna przed siebie. Jak błyskawica pognał za nią chłopak, trzymając w zębach krótki nóż myśliwski.

Długa to była gonitwa! Słońce wschodziło, gdy Manilu dał swój pierwszy celny strzał. Zmierzch zapadał, gdy wreszcie stanął nad nieżywą zwierzyną. Ciało miał podrapane, pokrwawione; kolce go tak niemiłosiernie pokaleczyły. Przy tej szalonej pogoni wpadł aż po szyję w trzęsawisko, ledwo się z trudem wygramolił.

Ale przecież zwyciężył! Odrzucił z dumą czarną głowę wtył; dziki okrzyk triumfu obwieścił dżungli jego czyn. Zagłuszył nawet na chwilę tysiączne wrzaski papug, małp i brzęczenie owadów.

Antylopa jedną napozór wyrządziła swemu myśliwemu dogodność: w tej ucieczce zaprowadziła go wpobliże rodzinnej wioski. Tak, że Manilu mógł jeszcze tego samego wieczora zawlec ją do domu, by się pochwalić przed ojcem.

Gdy wreszcie zziajany, zmęczony dotarł do domu, zdało mu się, że chyba jakiś sen straszny mu się zwidział. Czy to była jego spokojna wioska, którą dzisiaj rano opuścił? Dolatywały go

krzyki i wycia. Jakaś walka odbyła się tu zapewne. Większość chat była spalona, broń i trupy leżały dokoła. Manilu stał wciąż jeszcze w bezradnem przerażeniu, gdy doń podbiegła mała dziewczynka.

— Uciekaj, Manilu, biegnij, zanim ciebie złapią. Napadli nas handlarze niewolników.

Na te słowa dreszcz chłopca przeleciał. Dosyć słyszał o tej pladze afrykańskich wybrzeży. Już



właśnie pojawił się za dziewczynką biały człowiek; Manilu patrzył na niego jak na demona podziemi. Zebrał wszystkie siły i rzucił się do ucieczki w stronę lasu. Wróg dojrzał go już jednak. Dał susa za umykającym.

Manilu znów przeżywał gonitwę. Ale jakże odmienną od rannej pogoni! Teraz on był biedną ściganą zwierzyną. Bezlitosny myśliwy gnał za nim co sił.

I ten pościg skończył się podobnie jak poprzedni. Manilu zanadto był całym tym dniem utrudzony. A ten obcy, niedobry człowiek zbyt muskularny i wyćwiczony. Już po godzinie schwytał chłopaka. Skrępował mu ręce na plecach o wiele za silnie, i zawlókł z powrotem do wsi. I on również miał być przewieziony jako niewolnik do Ameryki Południowej.

* * *

Był to rok 1620. Jeszcze niewiele czasu upłynęło, odkąd wielki Kolumb odkrył nową część ziemi, Amerykę, a już chciwość europejskich krajów rzuciła się na nowy kontynent. Wszystkie jego części, które biali ludzie zdołali odkryć i zagarnąć pod swoją władzę, wydarto prawowitym, tubylczym panom. Różne państwa podzieliły je między siebie i założyły swoje kolonje. Napływali tu ludzie przedsiębiorczy i zakładali w nowych posiadłościach gospodarstwa, plantacje i kopalnie.

Ameryka Południowa została podbita przeważnie przez Portugalję, dlatego osiedlali się w niej kupcy portugalscy. Znaleźli tu bogate skarby ziemi, kruszce wszelkiego rodzaju. Uprawiali różne pożyteczne rośliny, które wydawały plon obfity. Zwłaszcza dobrze udawała się bawełna.

Upał w tych okolicach był tak palący, a klimat tak niezdrowy, że robotnicy europejscy niedługo mogli to znosić. Tubylczy Indjanie gromadnie uciekali z pobliża Europejczyków. Cofnęli się w niedostępne lasy i góry; tam ich trudno było złapać.

Wtedy Portugalczycy wpadli na pogański pomysł, aby na wybrzeżach afrykańskich chwytać ludzi i dostarczać ich za ocean. Ci murzyni, przyzwyczajeni do upałów, nadadzą się doskonale jako niewolnicy do pracy. Zapomniano przytem jakoby zupełnie, że i tym czarnym Bóg-Stwórca dał wolne, nieśmiertelne dusze. Uważano ich tylko za zwierzęta robocze, niemające żadnych praw, i tak też z nimi się obchodzono.

Taki los spotkał Manila wraz z matką i prawie wszystkich mieszkańców owej wioski. Jego ojciec, wódz, padł w walce z tymi zbójami, a także niejeden z jego wojowników. Napad był tak nieoczekiwany, że niewielu murzynów mogło się uzbroić do walki. Handlarze niewolników lekką mieli pracę.

Popędzono mężczyzn, kobiety i dzieci na wybrzeże, powiązanych niby zwierzęta w długie szeregi. Tam czekał wpogotowiu niewielki okręt, na który musieli wejść; setki innych niewolników miały dzielić wspólny los wraz z nimi.

Manilu trwożnie, w zdumieniu przyglądał się okrętowi, jego brunatno-czerwonym żaglom i barwnie malowanym bokom. Zwrócił się do swego sąsiada, chłopca dwudziestoletniego:

— Może wesoło będzie — lecieć tak w tym kolorowym domu ponad wodą!

Ten roześmiał się gniewnie.

— Cóż ty sobie wyobrażasz, dzieciaku! — odparł z goryczą. — Złapały nas te białe demony, aby nas zamordować. Tam, w ich kraju, który jest brzydki i straszny, ofiarują nas swoim bogom i zabiją okrutnie. Słyszałem o tem od jednej dziewczyny, która uciekła przed taką nagonką na niewolników.

Manilu jęknął. Jego wesołe oczy zaćmił wyraz smutku i rozpaczy. Patrzył ze zgrozą na kołyszący się obcy statek.

Nie nadarmo obawiał się tego okrętu, bo straszne były te długie miesiące, które na nim spędził. Była to raczej szalupa, o wiele za mała, aby pomieścić tylu ludzi. Z tego powodu, a także z obawy, że czarni mogliby się zbuntować przeciw swym gnębicielom, zamknięto tych wszystkich nieszczęśliwych w jednem, niezbyt wielkiem pomieszczeniu. Tu skuleni dzień i noc, stłoczeni gęsto, chorzy i zdrowi, starzy i młodzi, leżeli zepchani jak bydło.

Do cierpień cielesnych dołączała się jeszcze trwoga: „Co się z nami stanie, gdy dopłyniemy do kraju tych okrutnych białych?" Chociaż ta podróż była taka okropna, nikt nie pragnął jej końca. Nieszczęśliwi prawie że już nie rozmawiali; pogrążeni w niemej rozpaczy, siedzieli w tem ponurem, cuchnącem więzieniu.

Biedny, mały Manilu! Jakże zazdrościł teraz antylopie, którą upolował owego ostatniego szczęśliwego dnia. Spotkała ją w każdym razie śmierć uczciwa w wolnej dżungli!

* * *

I wreszcie pewnego dnia skończyła się ta podróż. Marynarz, który przyniósł im posiłek wieczorny, krzyknął:

— Kartagena!



Tak się nazywał cel podróży, miasto tych białych. To już wiedzieli. Marynarz powiedział: „Kartagena!" i zaśmiał się.

Śmiech ten wydał się im grymasem triumfu. On oczywiście chciał się do tych biedaków życzliwie uśmiechnąć. Bo mu ich żal było. Oni zaś sądzili, że biały raduje się na myśl o czemś okrutnem. Widocznie, że ku uczczeniu ich bóstw odbywały się również uczty ofiarne. A ten biały bę-

dzie wtedy jadł ich mięso. Zabrzmiały głośne krzyki i jęki po tem oświadczeniu marynarza. On wzruszył szerokiemi ramionami.

— A kto was zrozumie, czarne bydlęta! — powiedział. — Myślałem, że macie już dość tej ciasnej nory. No, co kto lubi! Mnie to tam obojętne.

I wyszedł.

Manilu, jego matka i ich przyjaciele spędzili noc straszną. Kartagena — miejsce ofiar białych ludzi! Nikt z tych biednych utrapieńców oka nie zmrużył tej nocy. W czasie żadnej burzy nie było im tak ciężko na sercu. Gdy nadszedł ranek, gdy ze stukotem opuszczano kotwicę, a małe łodzie portowe otoczyły żaglowiec, siedzieli biedni zrozpaczeni murzyni nieruchomo, jak rząd czarnych duchów.

Wtem otworzono drzwi. Drgnął rząd niewolników. Manilu, siedzący najbliżej wyjścia, uczepił się kurczowo matki. Kto przychodzi, aby ich zabrać?

Szmer zdumienia przebiegł w tłumie. Bo ten, który szedł pierwszy, był murzynem. Takim samym murzynem jak oni!

Powitał ich wesoło w ich własnym języku.

— Witajcie, bracia! — zakrzyknął radośnie. — Dobrze, żeście przybyli! Skończyła się wreszcie ta ciężka podróż w ciasnocie, teraz wyjdziecie na swobodę. Zaraz wam będzie raźniej!